Nr. 12. Lwów, dnia 1. Grudnia 1891. Rok XIV.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek 5 złr., 5 rs. 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Łowy jakich mało.

Sprawozdanie z polowania jesiennego w Lisowicach.

Pełnym czarem świetlanego poranka uśmiechała się d. 13. października urocza jesienna przyroda. To słońce, tak przejrzyście jasne, i to kobiercowe, z ciemnej świerków zieleni, purpury i pożółkłych liści utkane tło borów naszych, zdawały radować się wraz z nami z wczorajszych naszych tryumfów.

Łowczy prowadzi nas na Dmytrowe, gdzie miot pierwszy wzięto, część Dmytrowej wzdłuż szajby. Nie wykluczoną była możliwość spotkania się z dzikami, więc prawie każdy z myśliwych miał po dwie kule w trzylufkach. Miot już do połowy przegoniono, gdzieś na prawem skrzydle padł strzał, w niewielkiem oddaleniu burknął jarząbek, więc zmieniłem gładką kulę na śrut cienki. Ledwie zamknąć zdołałem trzylufek, coś żółtego błysnęło mi wśród gąszczyku, o jakie 50 kroków na prawo. Lis, pomyślałem, skrada się ku linii, i baczne oko zwróciłem w tę stronę. Wtem z miejsca tego, w potężnym skoku o trzy metry nad ziemią, zobaczyłem rysia. Chwycił się łapą gałęzi, zawisł sekundę, zwracając się ku nagonce i lekko zeskoczył.

Pod działaniem kilku bateryj elektrycznych nie doznałbym tak silnego wstrząśnienia, i gdybym był w tej chwili strzelił, byłbym pod wpływem emocyi szalonej z pewnością chybił. Lecz myśl, że to może jedyna sposobność w życiu zabić rysia, otrzeźwiła mnie zupełnie. Serce myśliwskie zapanowało nad emocyą i już ze spokojem patrzałem na idącego prosto na mnie rysia. Skradał się tak ostrożnie, iż mimo obfitych opadłych liści, szmeru uchwycić nie mogłem. Jest już na kroków trzydzieści, lecz stoi za krzakiem leszczyny. Serce me jak młotem bije i zdaje mi się, że czujne zwierzę każde jego uderzenie usłyszeć powinno. Skoczył i nagle utkwił we mnie swe ślepie. Szmaragdy w promieniu słońca nie błyszczą takim ogniem, jakim się skrzyły jego oczy. Zrozumiałem, że ryś mnie zobaczył, chwila — a skoczy w gąszcze. Szybko jak myśl przebiegło me oko po szynie, na końcu muszki lśni się biała rysia szyja, ściągnąłem cyngiel.... Piorunem rażony, błysnąwszy tylko czarnym końcem kity, leżał nasz tygrys północy.

Jeden z mych ideałów myśliwskich spełniony, bo w puszczach Litwy, za wyznaczoną cenę, niedźwiedzia dostanę, lecz z rysiem spotkanie trudniejsze. I okrzyk tryumfu stłumić musiałem, a chwila taka starczy za cały żywot myśliwski.

Miot drugi. Żydowskie zręby od Cisowa. Zastaliśmy tutaj sporo słonek, to też strzały sypały się gradem. Czarkowski zabija lisa, Bielski Juliusz młodszy robi dubletę do słonek, Stadnicki zabija zająca, prócz tego wiele chybnych strzałów do słonek. Wtem z gąszczu przed Stanisławem Wodzickim, na czystą prawie przestrzeń, z impetem hura-

ganu, z łoskotem walącej się burzy, wypada potężny niedźwiedź. Wodzicki przypuszcza go na kroków 15, dwie sekundy, a w nich dwa jego strzały z expresa kulą gładką. Niedźwiedź umyka dalej, a za uchodzącym na wąskim przesmyku, sąsiad Wodzickiego Stadnicki posyła swą kulę. Kule łowczego naszego nie zwykły mijać się z celem, niedźwiedź utknął, pozostawiając w miejscu strzału kłak, a potem obfitą posokę. Ponieważ niedźwiedź pomknął ku debrze, łowczy brać każe miot przyległy — w nagonce kilku strzelców.

Miot trzeci. Zakamień koło szkółki. Niedźwiedź, który rzeczywiście leżał w debrze, posuwa się gąszczami ku myśliwym na górze stojącym. Przedemną kilkumetrowa polanka zarośnięta gęstym, na métr wysokim, bukowym samosiewem, zewsząd otoczona gąszczykiem. Tymi gąszczami zbliżają się chłopcy, prąc ciągle przed sobą niedźwiedzia. I raptem wyskakuje na ową polankę niedźwiedź, a pomrukując, groźnie ku chłopcom spogląda. Złożyłem się, niedźwiedź nie dalej jak kroków dwadzieścia, ale dziesięć ledwie kroków za nim w zwartym szeregu dzielna nasza Lisowicka dziatwa. Z kijami leszczyny, ku niedźwiedziowi zwróconymi, nie pozwala mu się cofnąć. Pisk i krzyk szalony, prawdziwe piekło. Lecz niedźwiedź pomknął znowu w gąszcze ku myśliwym i dwa strzały Wodzickiego Stanisława i Kownackiego przerwały nić jego żywota.

I znowu miałem obraz myśliwski taki, że żywot cały nie zdoła zeń jednego zetrzeć cienia. Cześć ci i chwała Lisowicka kniejo, która w dniu jednym jesteś w stanie wywołać takie cuda! Hołd i dzięki ci składam, ty perło polskich kniei, ty skarbnico, ty wybranko nasza!

Potężną tę, o przepysznym włosie niedźwiedzicę, przyznano łowczemu Stadnickiemu, gdyż niedźwiedzica jego pierwszą kulą śmiertelnie ugodzoną została. Dobitą została kulą Wodzickiego Stanisława w skroń i kulą Kownackiego w krzyże.

Ostatni niedźwiedź, na polowaniu w Lisowicach ubity, padł w 1884 roku. Od tej chwili, chociaż corocznie niedźwiedź w rewirach *) naszych bawił, jednakże wiedziony zachowawczem przeczuciem, na miesiąc, tydzień a raz nawet na dni kilka przed rozpoczęciem jesiennego polowania w głębsze góry się usuwał. W tym roku z niezwykłą świetnością zapowiadały sie łowy, od sierpnia bowiem w rewirze Taniawskim bawiła niedźwiedzica z piastunem, a w drugiej połowie września w rewirze Lisowickim trzeci niedźwiedź na stałe się osiedlił. Lecz zdawało się, że jakieś złośliwe fatum dalej nas ściga, na wstępie bowiem zostaliśmy powitani smutną wiadomością, że tydzień przed naszym przyjazdem, na polowaniu, urządzonem w części rewiru Bolechowskiego, w której prawo polowania Towarzystwo odstępuje personalowi skarbowego leśnictwa w Bolechowie, zginęła owa niedźwiedzica z piastunem, a prócz nich i trzeciego jakiegoś niedźwiedzia los ten spotkał. Można pojąć rozczarowanie nasze w obec tego dokonanego faktu; z trzech niedźwiedzi mieliśmy już tylko jednego, a nie brakło w gronie naszem pessymistów, którzy i w bytność tego trzeciego niedźwiedzia nie bardzo wierzyli.

Pierwszy dzień poświęcił naturalnie łowczy poszukiwaniom za niedźwiedziem. Z powodu posuchy, o dokładnem tropieniu mowy być nie mogło, a i to już wiele, że tropiciele nasi zapewniali, iż niedźwiedź obległ w jednym z trzech obok siebie położonych miotów. Przegoniono miot jeden, drugi, napróżno. Dopiero w miocie trzecim zastaliśmy króla borów naszych, i tu padł on od celnej kuli gościa, Aleksandra Wodzickiego. Był to niewielki, dwuletni niedźwiedź, o ciemnym włosie. Po takim pięknym wstępie zaświtał dopiero drugi dzień łowów naszych, ów dzień pełen niespodzianek, któremu opis powyższy poświęciłem.

I po tych dwóch dniach zdawać się mogło, że miarka szczęścia już przebrana. Ale Lisowice były w tym roku niewyczerpanym rogiem obfitości. W dni kilka otrzymujemy elektryzujący raport od niezrównanego tropiciela, rewirowego naszego z Taniawy, iż pojawiły się w jego rewirze dwa groźne rabusie, w postaci większego i małego rysia. Tu sarna rozdarta, tam widoczny na błotku świeży trop, zdradzają ich bytność.

Dwa dni mijają na bezskutecznych poszukiwaniach. Dopiero przedostatniego dnia naszych łowów, w jednym miocie zastajemy obydwa rysie, matkę z tegoroczną córką i żbika olbrzyma, praszczura swego rodu. Starą rysicę, o prześlicznych czarnych prawie centkach, zabił Stanisław Piegłowski, córkę jej, gość Edward Mycielski, a żbika Zygmunt Pietruski. Prócz tego w miocie tym padły cztery lisy.

Od lat dwudziestu, to jest od chwili zawiązania się obecnie istniejącego Towarzystwa Lisowickiego, nigdy ryś w jesieni strzelanym nie był. Niemal za pewnik myśliwski uchodziło mniemanie, że ryś tylko w zimie z miotu wyprzeć się daje; tej jesieni zaś giną trzy rysie, a cyfra to imponująca, zważywszy, że od roku 1870 tylko sześć rysiów było tu strzelanych, z których pięć ubito. Więc w jednym sezonie osiągnęliśmy większą połowę rezultatu, na który lat dwadzieścia się składało. Słusznie też nazwać to można szczytem szczęścia, które nam obecnie sprzyjało, że na czarnej stopie zastajem w jednym miocie dwa rysie i żbika, że dają się one z świerkowych gąszczów miotu tego wyprzeć na linią myśliwych, wreszcie, że tak rysie jak żbik stają się ozdobą naszego rozkładu.

Do niezwykłego ubarwienia tegorocznego polowania przyczyniła się też mnogość lisów. Lisowice w całej pełni zasłużyły na swą nazwę, szczycąc się taką cyfrą ubitych w tym jednym sezonie lisów, że równej nie osiągnięto w żadnym z lat poprzednich. Na tegorocznem dziesięciodniowem jesiennem polowaniu ubito: 2 niedźwiedzie, 3 rysie, 1 żbika, 5 dzików, 11 rogaczy, 43 zajęcy, 61 lisów, 4 cietrzewie, 36 jarząbków, 51 słonek, 10 sów uralskich, 5 jastrzębi, 2 sowy — razem sztuk 234 na strzałów 547. Cyfry to poważne, lecz trzeba wziąść w rachubę liczbę dni myśliwskich i strzelb, które się na nie składają. Główny też urok polowań w Lisowicach tkwi nie w liczbie strzałów, ale w tej niezwykłej rozmaitości zwierza, z którym tu spotkać się można i w tych elektryzujących niespodziankach, które knieja ta zgotować umie.

Tu strzelacz nie ma racyi bytu; często miot po miocie, dzień po dniu mija, a Sylwanka pastwi się nad swą ofiarą. Nie do wyjątków należy myśliwy, który czasem i przez tydzień się nie złoży. Ale potem chwila jedna, spotkanie się z rysiem lub niedźwiedziem, albo potężnym górskim odyńcem wynagradza sowicie, w niepamięć spycha poniesione trudy i zawody, pozostawiając na całe życie niezatarte wrażenia i wspomnienia.

Lisowice w październiku 1891.

Juliusz Bielski, junior.

*) Obszar przez Towarzystwo dzierżawiony, składa się z trzech rewirów: Bolechów, Taniawa i Lisowice.

PAROSTKI KOZŁÓW.

Studyum przyrodniczo-łowieckie

skreślił

Władysław Spausta.

(Dokończenie).

Chcąc zastanowić się bliżej nad przyczynami zmian, jakim ulegają parostki pod wpływem bądź to cierpienia całego organizmu, bądź pod wpływem miejscowych obrażeń tegoż, musiałbym głęboko zapuścić się na pole anatomii i patologii i tam ich szukać. Zadanie to jednak, do którego zresztą i sił nie posiadam, przechodziłoby zakres niniejszej rozprawy. Poprzestanę więc na dostarczeniu okazów i realnych w tym względzie doświadczeń, pozostawiając specyalnym zoologom dalsze badania.

Nie chcę także puszczać się na spekulacyjne pole hipotez, bo smutną zwykle bywa przyszłość takich spekulacyj; żyją one życiem jednodniówek i gasną, aby zrobić miejsce podobnym sobie. Tymczasem w zaciszu pracuje pozytywna wiedza i kroczy powoli lecz pewnie, i gdy ją dolecą banalne głosy półwiedzy, pozostaje obojętną na nie i idzie dalej w kierunku wskazanym. A rozpatrując skryte i zawiłe ścieżki przed sobą, staje się coraz skromniejszą, coraz bardziej milczącą, bo otwierają się przed nią nieznane dotychczas widoki, zniechęcające słabych, ale zachęcające silnych, widoki tajemniczych a krętych krużganków w organizmach przyrody. Żmudną wreszcie pracę wieńczy nagroda, a tajemnicze dotychczas, teraz zaś odsłonięte odwieczne prawo, tłumaczy się pojedynczymi i prostymi słowy...

Lecz znowu odbiegam od przedmiotu.

Przechodzę więc do zmian na parostkach w skutek obrażeń pewnych części organizmu. Wspomnieć tu muszę na wstępie o formach, jakie powoduje obrażenie części płciowych, bo wpływ ten jest zanadto widoczny, zanadto markujący pewną organiczną łączność. W skutek obrażeń tego rodzaju powstają często myłkusy perukowe, o których już wspominałem, monstra, budzące podziw swą oryginalną budową i różnorodnymi kształty. Jednak z powodu, że warunki powstania tego ze wszech miar niepięknego cacka są już doświadczeniem zbadane, nie może ono mieć dla prawdziwego znawcy tej wartości, jaką mu przypisują szerokie koła. Cacko to straciło urok dla znawcy, od chwili, gdy doświadczenie dało człowiekowi sposób sztucznego wytworzenia parostków perukowych. M o g ą o n e b y ć w y p r o d u k o w a n e n a k o z ł a c h w z a m k n i ę c i u c h o w a n y c h, a t o z a p o m o c ą u m i e j ę t n i e p r z e p r o w a d z o n e j k a s t r a c y i.

Myłkusy perukowe przypominają nam t. zw. w patologii *osteophyty*, t. j. nowotwory kostne, które swą dziwaczną teksturą odróżniają się od zwykłych kości; są to bowiem masy kostne kształtu brodawkowatego, nieraz znów podobne do zbitej masy kolców, pokręconych liści lub wreszcie do skrzepu jakiejś masy, rozlanej w stanie płynnym po powierzchni kości, z którego częstokroć wystają gałązki właściwych parostków.

Dziwne te nowotwory są najprowdopodobniej wytworem przykostni, czyli w tym razie scypułu, a zdanie Duchamela: „*le periost, fait l'os*", zdaje się mieć w tym wypadku w całej pełni potwierdzenie, bo tylko pod pokrywą scypułu wytwarzają sie perukowce.

Zdarza się, że perukowym takim nowotworom towarzyszą daleko sięgające cierpienia, którym nawet kość czołowa ulega. Bywają to ropienia silne, które nietylko, że niszczą substancyę parostków, ale przenosząc się na najszlachetniejsze części organizmu, stają się przyczyną śmierci, jak tego dowiodły doświadczenia na kastratach. W innych razach chorobliwe te parostki dojrzewają przedwcześnie, oczyszczają się z mchu i zostają odnowione.

W wolnej przyrodzie są perukowce bardzo rzadkiem zjawiskiem, a to zdaje się popierać domysł, iż wyłącznie tylko gwałtowne zmiany, zaszłe w odpowiedniej porze w ustroju płciowym, stają się powodem ich powstania, i że zmiany inne, wywołane skaleczeniem, złamaniem kości itp., w inny sposób wpływ swój na parostkach uwidoczniają.

Powstanie częściowych perukowców zauważano już nieraz i w takich wypadkach, gdzie nie dostrzeżono żadnych widocznych zmian w ustroju płciowym. Rzecz ta jednak niczego nie dowodzi, bo zmiany mogą być nietylko zewnętrzne, materyalne, ale i funkcyonalne, a te trudno na kadawrze skonstatować.

Gdyby częściowe obrażenia organizmu stawały się choć w małej części powodem wytwarzania parostków perukowych, niemniej gdyby uszkodzenia organów płciowych, bez zmian funkcyonalnych w tychże, objaw ten chorobliwy wywoływały, monstra te byłyby bardzo częstem zjawiskiem. Weźmy bowiem na uwagę niezliczone uszkodzenia, jakim ulegają kozły, zwłaszcza u nas, gdzie istnieje jeszcze ciągle niechwalebny zwyczaj strzelania śrótem przed nagonką. Wszak musielibyśmy mieć w naszych lasach mnóstwo takich okazów, boć każdy widział, ile to kozłów po takich strzałach już to farbuje, już to gubi turzycę, już to znaczy ślad drzazgami rozbitej kości. A przecież w wielkiej części natura arkanami swymi leczy takie postrzałki, i po kilku latach, wśród ochoczej i wesołej siesty myśliwskiej, pojawiają się na rozkładzie egzemplarze z potwornymi śladami ran już dawno zadanych i zagojonych, bez peruk, ale z dowodami wielkich męczarni biednego zwierzęcia, które mu ręka niezgrabnego strzelca zadała. I nasuwa się tu ta postronna nauka, że skoro już jako panowie stworzenia, i w wykonaniu obowiązków zawodu, w walce o byt musimy zabijać — to strzelajmyż przynajmniej kulami i składajmy w strzale przynajmniej dowody zręczności, chociaż i tak jeszcze będzie dosyć kalek błądzić po lesie, kalek z postrzałów kłusowników.

Lat temu kilka, w styczniu, z brzaskiem dnia jechałem z p. K. linią lasową. Śnieg w nocy upadł głęboki, robiliśmy pierwszy ślad, a konie z trudnością bałowały się naprzód. W partyi lasu, obok której przejeżdżaliśmy, widywałem już często przedtem kilka sarn i kozła. Leżały one zwykle niedaleko linii i gdym przejeżdżał, niewiele na to uwagi zwracały. Będąc końmi zajęty, patrzałem tylko przed siebie, gdy wtem trącił mnie mój towarzysz łokciem, wskazując na kozła, który o jakie 60 kroków stał w lesie. Zwierz ten nie miał wprawdzie złotych wieńców, ani złoty krzyż św. Hu-

berta nie błyszczał pomiędzy dość nędznymi, zresztą mlecznymi jego parostkami, ale patrzał z taką ufnością swem przepięknem na nas okiem, iż widząc, jak towarzysz mój wkłada naboje do strzelby, zaciąłem konie. Cóż, kiedy wyprzedziła mnie gorączka myśliwska mego towarzysza i równocześnie padł strzał (oczywiście śrótowy) a kozioł zniknął nam z oczu.

Pobiegłszy za strzałem, zdybałem trop kozła; zamiatał on prawą, tylną cewką, co wskazywało na złamanie kości. Z początku farby wcale nie można było dojrzeć, dopiero dalej ukazywały się zrzadka pojedyncze krople, a wreszcie farba się gubiła. Dalsze tropienie pozostało bez skutku; kozioł uniósł się daleko.

— Głupstwo zrobiłem strzelając — rzekł do mnie mój towarzysz wracając z kwaśną miną.

— Ma się rozumieć! — odrzekłem mimowoli, zdegustowany także tym niefortunnym strzałem.

Na tem skończyła się nasza rozmowa o całym tym wypadku.

Niemal w rok później, bo w jesieni następującej, ubito w tej samej parceli lasowej kozła, a parostki jego dostały się do rąk moich. Jedna łodyga była zupełnie normalnie w 3 gałązki rozwinięta, druga zaś, l e w a, tylko do połowy wyrosła o jednej widełkowej, również niewykształconej gałązce. Parostki były zresztą w substancyi wykończone i z mchu oczyszczone. Na śródnożu cewki p r a w e j, tylnej, ujrzałem zgrubienie monstrualne, świadczące o regeneracyi strzaskanej strzałem kości, a cewka uszkodzona była o 5 cm krótszą od zdrowej lewej. Najniezawodniej był to zatem kozioł postrzelony w styczniu, a ja zyskałem piąty z rzędu zapisek własnego doświadczenia, zawsze z tym samym wynikiem, że o b r a ż e n i a o d n ó ż y w y w o ł u j ą w p ł y w n a b u d o w ę p a r o s t k a p r z e c i w n e g o s t r o n i e o b r a ż o n e j.

Znalazłem tu zupełne potwierdzenie zdania niektórych badaczy (Dombrowski), iż skaleczenia ciała działają depresyjnie na rozwój parostków w kierunku dyagonalnym, a nie jednostronnie, jak to większa część interesujących się tym przedmiotem utrzymuje. Twierdzenia tej większości mają swe źródło niezawodnie w niedostatecznej obserwacyi i przeoczeniu jakichś wpływów innego rodzaju, bo może widziano na odnóżach skaleczenia i równocześnie na tej samej stronie parostek myłkusowy, jednak przepomniano równocześnie zbadać, czy nie powstał on z czysto lokalnej przyczyny. To bowiem pewna, że nie każde obrażenie odnóży powoduje powstawanie myłkusów jakichkolwiek, że zatem nie musi koniecznie wywoływać zmiany na parostkach w kierunku dyagonalnym. Oddziaływanie słabsze lub silniejsze zależy tu od tego, jakie części ustrojowe zostały uszkodzone, a przy uszkodzeniach postrzałami zachodzić mogą nieskończone kombinacye.

W wypadku powyżej opisanym, mógłby ktoś przypisywać niewykończenie parostków bezpośredniemu obrażaniu go śrótem i byłoby to, nie znając okoliczności towarzyszących, bardzo logiczne i prawdopodobne, bo przy strzelaniu rzeczywiście Bóg śróty nosi — gdy jednak dodam, iż strzał był dany na połeć, i że bezpośrednie uszkodzenia dadzą się jako tako rozpoznać — jeżeli nadto przypomnę, iż zjawisko to ja sam już pięć razy a przedemną już inni wiele razy zbadali, nie posądzi mnie nikt o mylne wysnuwanie prawideł.

Obrażenia części organizmu zdają się wywierać podwójny wpływ na parostki, stosownie do tego, jakiego rodzaju narządy ustrojowe uszkodzeniu uległy. Powiadam „zdaje się“, bo nie chcę wynosić do rzędu pewnika spostrzeżenia, nie popartego jeszcze zbyt wielką liczbą faktów. U s z k o d z e n i a k o ś c i w y w o ł u j ą b ą d ź c z ę ś c i o w y b ą d ź z u p e ł n y z a n i k p a r o s t k ó w w k i e r u n k u j u ż p o w y ż e j w s k a z a n y m, u s z k o d z e n i a z a ś i n n y c h n a r z ą d ó w, a w s z c z e g ó l n o ś c i g r u b s z e o b r a ż e n i a n e r w ó w i n a c z y ń, s t a j ą s i ę p o w o d e m c h o r o b l i w e g o z w i ę k s z e n i a s i ę i l o ś c i t w o r z y w a w p a r o s t k a c h.

W pierwszym razie zdaje się tu mieć miejsce resorbcya soków odżywczych w celu regeneracyi uszkodzonych kości, w drugim zaś przeciwnie, bujanie tworzywa w skutek jakiegoś podrażnienia refleksyjnego.

Granica jednak owych wprost przeciwnych wpływów rzadko kiedy w praktyce istnieje i stąd pochodzi trudność zbadania rzeczy. Z ciężkimi uszkodzeniami kości łączą się zazwyczaj rozmaitej miary obrażenia narządów sąsiednich i przeciwnie, i w tem żda się leżeć przyczyna owej nieskończonej różnorodności form, jaką na myłkusach spostrzegamy, owych niezliczonych kombinacyj pomiędzy zanikiem i hypertrofią, budzących ciągle ciekawość kół fachowych.

W omawianej tu sprawie dwie okoliczności mogę wprowadzić badacza na mylną drogę: Z jednej strony wspominany już różny co do intenzywności wpływ uszkodzeń ciała na rozwój parostek — z drugiej zaś szczególniejsza siła regeneracyjna w organizmie sarn. Częstokroć bowiem i ciężkie obrażenia ciała zdają się nie wywierać żadnego wpływu na parostki, zwłaszcza, gdy obrażenia nastąpiły w stadyum wykończenia parostków i gdy przedtem, nim ma je kozioł zrzucić, nastąpiło już zagojenie ran. W tym peryodzie nastąpić może regeneracya całych kawałków odbitych kości bez wpływu na parostki, i dalszy rozwój nowych parostków odbywać sie może w sposób prawidłowy.

Zadziwiającą jest szybkość, z jaką się rany u sarn goją. Znane są wypadki, iż kozioł, któremu kula strzaskała nogę w końcu sierpnia, położony został w grudniu całkiem wygojony i w stanie zupełnej łojności. Pomimo tego zatem, iż zwierzę przechodzić musiało w tym stosunkowo niedługim czasie ciężką chorobę, pomimo, iż musiały być odtworzone całe kawałki kości — jak to naocznie zgrubienie znaczne wskazywało — znalazło przecież dosyć jeszcze sił i czasu, aby dojść do stanu zwykłej o tej porze łojności.

Nieraz obrażenia są tak wielkie, że i nadzwyczajna siła regeneracyjna nic tu pomóc nie może. Częstokroć zwierzę traci przez zgorzelinę całe odnóże, a mimo to nie występują żadne zmiany na parostkach. Dowodzi to wymownie, jak rozstrzygającą o wpływie rany na parostki, jest właśnie chwila ich rozwoju.

W ubiegłym roku położono w styczniu w lasach Kołodrubskich kozła w pełnym biegu, który nie miał wcale cewki tylnej aż do połowy kości udowej. Parostki jego mleczne nie okazywały jednak żadnych zmian, gdyż uszkodzenie ciała pochodziło prawdopodobnie jeszcze z jesieni roku ubiegłego.

W wypadkach wspomnianych, w których uszkodzenia ciała nie działają na formalną zmianę parostków, nieraz jednak zachodzą zmiany w peryodycznym odnawianiu parostków. Kaleki takie nie wkładają i nie zrzucają parostków w czasie normalnym, okresy te przedłużają się i częstokroć parostki dopiero po dwóch a nawet trzech latach bywają odnawiane. Zdarzają się i takie wypadki, że zwierzę do śmierci zatrzymuje parostki, które podczas uszkodzenia ciała posiadało.

Stąd pochodzi, iż widzimy nieraz o niezwykłej porze kozły z oczyszczonymi i wykształconymi parostkami. Są to najniezawodniej prawdziwe mylkusy, pomimo, że rzadko tylko da się udowodnić ich właściwa przyczyna w uszkodzeniu jakiejś części ciała. Że nie wiek jest tego objawu przyczyną, o tem przekonałem się w bardzo wielu wypadkach, niemniej przyznaję się, że tylko wyjątkowo znalazłem widoczny powód w uszkodzeniach ciała, usuwających się zwykle od pobieżnej obserwacyi. Że zaś nawet i dość dokładne badania, w tym wypadku przez dyletanta wykonane, nie mogą wystarczyć, o tem zdaje mi się wspominać zbytecznie.

Już na innem miejscu wyjawiłem zdanie moje co do trwania epok odrostowych u kozła. Umocniły mnie w tem zdaniu dokonane spostrzeżenia, iż nawet dokumentnie stare kozły, u których uzębienie bardzo było zużyte, parostki odnawiały. Czy egzemplarze te zbliżały się już do owego kresu, po który naturalny wiek kozła oznaczają, t. j. do lat piętnastu — tego z pewnością ani ja, ani ktokolwiekbądź rozstrzygnąć nie byłby w stanie. Zresztą zdaje mi się, iż w obec tego, że zwierzęta sztucznie utrzymywane nie mogą dać w tym kierunku wyjaśnień, podania co do możliwego wieku dzikich zwierząt, układane na podstawie pewnych prawideł uogólnionych, nie mogą mieć wielkich pretensyj do dokładności.

Dekret, skazujący kozła na 15 lat życia, wynika bezpośrednio z prawidła, odkrytego przez fizyologa Flourensa, według którego istnieje pewien stosunek stały pomiędzy okresem wzrostu i wykształcenia się organizmu, a trwałością życia. Stosunek ten oznaczył wspomniany uczony na 1 : 5 u zwierząt przeżuwających, z czego wynika, iż kozioł, który w roku 3-im osiąga kulminacyjny punkt rozwoju, 3 $\times$ 5, t. j. 15 lat żyć powinien. Człowiek jednak najczęściej przeszkadza mu w wypełnieniu tej powinności, przekazanej paragrafem pomienionego prawidła.

Co do prawideł, jakim ulega proces fizyologiczny i patologiczny na parostkach, nie możemy się spodziewać zadawalniającej odpowiedzi od zwierząt, utrzymywanych sztucznie, a w szczególności od rodu sarn, tak subtelnie odczuwających zmiany bytowe. Ktokolwiek zwiedzał uważnie parki lub ogrody zoologiczne, spostrzegł niemal ogólnie występujący objaw u zwierząt, dłuższy już czas tam przebywających. Oto parostki takich kozłów przedstawiają pewne zboczenia od istoty i form, jakie w wolnej spotykamy naturze, co wskazuje, iż nie tu wdzięczne pole do badania przedmiotu. Wrażliwy ten twór, znacząc na sobie pośrednio w tak nieraz drastyczny sposób zmiany organiczne, o ileż więcej musi ulegać zmianom w skutek bezpośredniego działania szkodliwych wpływów miejscowych. O wiele częściej powstawać też tu muszą mylkusy tego rodzaju, zwłaszcza, że wiemy, jak niezliczone mogą być do tego powody, podczas gdy nagłe obrażenia ciała, jak to wykazałem, nie zawsze i nie wszędzie znaczą się na parostkach.

Wiele bardzo mylkusów powstałych w takich warunkach wcale ciekawości nie budzą, bo powstanie ich zanadto jasno samo ukształtowanie tłumaczy. Inne wymagają rutynowanego oka znawcy do odróżnienia od form mylkusowych, które z innych przyczyn powstają. I tutaj odgrywa indywidualność zwierzęcia jako też chwila obrażenia wielką rolę. Przy wątłej konstytucyi i silne obrażenia wywołują tylko mało znaczące zmiany, podczas gdy u innych nawet słabe nadwerężenia powodują silny proces zapalny i wytwarzanie się nowotworów najdziwaczniejszych.

Uszkodzenia lokalne parostków mlecznych (gdyż tylko w tym stadyum może być mowa o tem, i tylko w tym okresie mogą się wytwarzać mylkusy) najczęściej zwierzę samo sprowadza, rzadziej pochodzą one od postrzałów. Są to otarcia, złamania, rozkłucia lub stłuczenia.

Najczęściej pojawiają się tu mylkusy monstrualne w skutek chorobliwego bujania tworzywa, rzadko zaś występuje zanik, bo ten może chyba być powodowany zupełnem lub częściowem zniszczeniem dotyczących nerwów czuciowych w scypule (co tylko bardzo wyjątkowo da się przypuścić n. p. u koźląt podczas wznoszenia się guzów), skutkiem czego przerwanie wyżywienia czyli zanik dotyczącego parostka nastąpić musi.

Być może, iż na tej drodze możnaby także dojść do odpowiedzi na niezałatwione jeszcze do dziś pytanie: jakim sposobem powstają w wolnej przyrodzie kozły bezparostne a zdolne do rozpłodu?

Podczas rozwoju parostków mlecznych unikają zwierzęta niebezpieczeństwa wszelkiego rodzaju, chodzą powoli, przesuwając się ostrożnie między gąszcze, nie biegają prawie nigdy z własnej ochoty, jakby wiedziały o delikatności sokami przepełnionych parostków. Płochliwość jednak, wrodzona wszystkim jeleniowatym, zapanowuje nad wszystkiem, każe im zapominać o wszelkich innego rodzaju względach, a wtenczas następują obrażenia, powodujące powstawanie mylkusów. Najmniejsza przyczyna wprowadza stada w dziki popłoch, podczas gdy poważne niebezpieczeństwa wcale uwagi zwierząt nie zwracają, a nie znam zwierzęcia, któreby tak dalece nie potrafiło ocenić właściwej sytuacyi, jak sarna. Stadko sarn przypatruje się czarnemu wylotowi lufy, ogląda myśliwego, pasie się na kilkadziesiąt kroków podczas przejazdu drużyny myśliwskiej, skąd błyszczą lufy i dolatują głosy rozmowy, — a szelest skrzydełka ptasiego wprawić je może w popłoch niesłychany.

Po najeżonym przeszkodami terenie, po którym nawet bardzo zgrabny człowiek tylko z trudnością przecisnąć się może, przesadzając w podziwu godnych susach wszelkie zapory, niknie stado z chyżością wiatru. O ileż prawdopodobniejsze są tu obrażenia parostków, gdy praktyka łowiecka wykazuje w takich razach wypadki zabicia się zwierzęcia o pień, złamanie odnóża i t. p. Nie pomaga tu przysłowiowa i w istocie arcywielka zwinność, zgrabność i gracya. Postrzały, jakkolwiek również wytwarzać muszą parostki mylkusowe, przyczyniają się do tego tylko bardzo rzadko i tylko wyjątkowo mogą być rozpoznane. Strzał, który dotyka parostków — a mówię tu o strzale śrótowym — wyjątkowo tylko dla zwierzęcia nie jest zabójczym.

Nie podobna by tu było nawet w przybliżeniu wyliczać a tem mniej opisywać rozmaitego rodzaju monstra, jakie się spotyka w skutek lokalnych obrażeń parostków. Znaną jest już niezliczona mnogość form, a praktyka łowiecka pomnaża z każdym rokiem zastęp ten coraz to nowymi okazami. Poprzestać muszę przeto na krótkiej wzmiance i dotknąć tylko głównych form, w jakich mylkusy tego rodzaju przedstawiać się zwykły.

Jeżeli łodyga została złamaną bez większego nadwerężenia scypułu, wykształca się dalej pod kątem złamania, dojrzewa i zostaje w swym czasie oczyszczoną. Rzadko kiedy w tym razie wytwarzają się monstrualne kształty, a oryginalność leży tylko w kierunku łodygi, pochylającej się bądź to w tył, bądź naprzód lub w bok, stosownie do kierunku złamania, jakoteż stosownie do kąta, jaki się przez złamanie wytworzył. Odłamanie zupełne części mlecznej parostka jest prawie nieprzypuszczalne; kawałek odłamany pozostaje

zawsze, wisi na scypule i zrasta się następnie w bardzo krótkim czasie, dzięki energicznemu procesowi regeneracyjnemu, jaki tu ma miejsce.

Inaczej się rzecz ma, gdy scypuł w któremkolwiek miejscu został uszkodzony. Uszkodzenia tegoż przy nasadzie około róży, powodują monstrualne bujanie nowotworu, kształty róży rozlewają się nieraz po czaszce, tworzą tu jakby stalaktytowe masy przylegające do czaszki, lub odstają od tejże w formie pokędzierzawionej niby liście kapuściane. Rozwój łodygi w takim razie często cierpi w skutek odjęcia soków odżywczych i wyjątkowo tylko okazuje kształty, odpowiedne epoce odrostowej kozła.

Podobne zmiany wywołuje uszkodzenie scypułu i na wyższych częściach łodygi, z tą wszakże różnicą, że nowotwory w tych miejscach zwykle posiadają wiekszą twardość i nie dochodzą do tak monstrualnych rozmiarów. Pojawiają się tu najczęściej naroście kostne najrozmaitszych kształtów. Bywają to raz kolcowate wyrostki, które łatwo za gałązki wzięte być mogą, innym razem, a mianowicie przy podłużnych odarciach scypułu, tworzą się wypukłe żebra wzdłuż parostka. Spotykałem także parostki niby z gałkami, jakie się bodzącym krowom na rogi zakłada; pochodziły one niezawodnie z miejscowego uszkodzenia scypułu. Gałki te były na zewnątrz skostniałe, a wewnątrz gąbczaste, pomimo, że parostek był w zupełnie normalnym stanie wykończenia.

Przebiegłszy pobieżnie od róży aż do końców gałązek zmiany, jakie na parostkach z lokalnych uszkodzeń pochodzić mogą, muszę dodać, iż kościotworna własność scypułu utrzymuje się w nim nawet po oddzieleniu od łodygi. Własność ta tłumaczy owe kształty, dające się nieraz na tego rodzaju myłkusach spostrzegać, a które niepodobna sobie wytłumaczyć na podstawie uszkodzeń, o jakich pobieżnie wspomniałem.

W rozprawie niniejszej, już może zbyt nużącej, bo przepełnionej żmudnymi opisami, co było jednak nieuniknionem w braku ilustracyj, starałem się przedstawić w świetle dzisiejszej wiedzy ciekawy objaw życiowy jednego z najważniejszych reprezentantów naszej fauny leśnej — objaw, który stosunkowo do swej ważnej roli, jaka się w życiu zwierza odgrywa, zbyt pobieżnie tak przez fizyologów i zoologów, jako też przez pisarzy myśliwskich był traktowany. Dość powiedzieć, iż dopiero w 1884 r. pojawiła się w tym przedmiocie w Wiedniu pierwsza samoistna praca myśliwego p. t. *Die Geweihbildung der europäischen Hirscharten von Raul von Dombrowski*, w której autor, niezależnie od przepisywanych i ciągle powtarzających się zdań mylnych, występuje samodzielnie jako badacz przedmiotu, omawiając go w właściwy sobie, zajmujący sposób.

W pracy niniejszej, wspartej przeszło 20-letniem doświadczeniem własnem, wspomnianą książką specyalisty, któremu stanowisko dozwoliło przedsiębrać doświadczenia na szeroką skalę, a wreszcie spostrzeżeniami rozmaitych myśliwych w kraju, starałem się przedstawić całość przedmiotu. Gdzieniegdzie udało mi się dojść do pozytywnych wyników, są jednakże luki, których własnem doświadczeniem wypełnić nie zdołałem, a przekonanie nie dozwoliło powtórzyć obcych zdań w tym kierunku. Przeprowadziłem rzecz, jak siły na to pozwalały, w nadziei, że szersze koła inteligentnych myśliwych wspólnymi siłami dopomogą z czasem do uzupełnienia braków i sprostowania niedokładności.

Tylko przy szczerem zainteresowaniu się ogółu ludzi fachowych i troskliwem zbieraniu licznych doświadczeń i spostrzeżeń, może posunąć się wiedza w tym specyalnym zakresie, mogą się wyjaśnić szczegóły, na których zbadanie nie wystarczają i stulecia pracy jednostek.

Zbierajmy więc wszyscy co zdołamy w ciągu naszego życia myśliwskiego i ogłaszajmy wszystkie choćby pozornie drobnostkowe spostrzeżenia — czyńmy je bystro a ogłaszajmy wiernie — to w krótkim stosunkowo czasie zbierzemy ogromny zasób materyałów, którymi da się zapełnić luki dotychczasowe i uczynić zbytecznymi nieudolne hypotezy, jakimi jeszcze po dziś dzień w wielu miejscach budynek wiedzy podparty.

Polowanie na Hełmie.

Obrazek z życia myśliwskiego.

Przedewszystkiem winienem objaśnić łaskawego czytelnika, że polowanie, które mam zamiar opisać, nie odbywało się bynajmniej na hełmie pruskiego dragona, lecz na jednej z najwyższych gór, zwanej „Hełmem“ i położonej w pasmie Karpat, ciągnącem się od Szymbarku ku Grybowu. Góra ta bardzo słusznie Hełm się nazywa, ponieważ kształtem przypomina dosyć dokładnie formę olbrzymiego, po bokach nieco spłaszczonego i na samym wierzchu siodłowato zakończonego hełmu. Ma ten olbrzymi hełm około 2 do 3 kilometrów długości, u podstawy jest na kilometr szeroki, wysokość zaś i spadzistość góry po obu stronach można sobie wyobrazić z tego, iż nawet ten, kto ma dobre nogi i płuca a przytem wprawę w spinaniu się po górach, potrzebuje niemal godzinę czasu, ażeby się na wierzch siodła dostać. Od czoła tego kolosu nikt się na szczyt nie wydrapie, tak jest stromo, ale z innej strony idąc, skoro się już stanie na wierzchołku i spojrzy na dół z czoła tego górskiego olbrzyma — zapomina się w jednej chwili o znużeniu i przebytym trudzie, gdyż, bez przesady mówiąc, widok górskiej panoramy, jaka się tu oku przedstawia, jest w istocie zachwycający.

Cała ta góra, poszyta w części wysokopiennym lasem, w części krzakami, miała, a może ma do dziś jeszcze dwóch właścicieli; jedna strona należała do właściciela dóbr Grybowa ś. p. Hosza, druga zaś do żyjącego jeszcze właściciela dóbr Ropy, pana S. Przez całą długość góry prowadziła, samym wierzchołkiem grzebienia, szeroka linia, stanowiąca sąsiedzką granicę.

Obaj ci szanowni właściciele, lubo całkiem jednozgodni pod względem intenzywnego i racyonalnego gospodarstwa rolnego, nie godzili się przecież w zupełności na punkcie

starej maksymy: że dzieci, szklanek i zwierzyny nie bywa nigdy za dużo, — jeden bowiem był bezdzietny, drugi zaś doprowadził do bardzo poważnego grona dziatek. Zato w kwestyi ochrony i rozmnażania zwierzyny zgadzali się jak bracia bliźniacy, bo co jeden zaszanował, tego drugi z pewnością nie zepsuł.

Były to dwa typy obywateli wiejskich nowszego a zacnego pokroju, obywateli, którzy zostawszy na gruncie narodowym, umieli się pozbyć tamujących nasz rozwój przesądów, łączyli w sobie dobre wychowanie z inteligencyą wykształconego człowieka, a zrozumiawszy obowiązki, jakie na nich ziemiaństwo wkłada, trzymali się wszelką siłą tej ojcowizny, przy której im Bóg trwać i żyć rozkazał.

Ś. p. Hosza nie znałem osobiście, gdyż wkrótce po mojem przybyciu w tamte strony, przekazawszy testamentem wszystkie dobra krewnym, sam przeniósł się w wieczyste knieje św. Huberta. Pozostawił po sobie na ziemi pamięć znakomitego gospodarza i myśliwego, co umiał szanować zwierzynę i dbał o nią szczerze.

Z właścicielem drugiej strony Hełmu, szanownym panem S., stykałem się kiedy niekiedy i miałem sposobność być parę razy na polowaniu w górskich jego lasach.

Otóż jedno z takich polowań na opisanym właśnie Hełmie wryło mi się tak w pamięć, iż pozwólcie mi łaskawi czytelnicy, ażebym się z wami wspomnieniami tymi podzielił.

Jako zapalony myśliwy, mam w sobie nieco natury wyżła. Podobnie jak wyżeł, skoro znajdzie się w obcem mu miejscu, wietrzy zaraz naokoło, czy nie ma jakiej zwierzyny, którąby mógł swemu panu wystawić — tak i ja, znalazłszy się w okolicy jeszcze mi nieznanej, strzelam zaraz oczami na wsze strony i wietrzę, co tam słychać w dziedzinie łowieckiej. Nic też dziwnego, że ujrzawszy Hełm i dowiedziawszy się, że na jego szczycie mają ostoję sarny, te nasze leśne baletnice, — i składają rodzinę około 30 do 40 sztuk liczącą — zapragnąłem za jakąbądź cenę złożyć im oficyalną myśliwską wizytę i przyglądnąć się im z bliska.

Los, zwyczajnie mi zawistny, był tym razem wyjątkowo łaskaw, bo niebawem zaprowadził mię do tego tak wysoko położonego i z wielkim przepychem, jakiego tylko przyroda dostarczyć może, umeblowanego sarniego budoaru — czyli, mówiąc prozaiczniej, gdym wrócił jednego dnia z przejażdżki popołudniowej do domu, zastałem zaproszenie na polowanie, mające się odbyć dnia następnego na Hełmie.

Daty polowania nie pomnę — było to jakoś ku końcowi listopada 1886 lub 1887 roku — to jednak pamiętam bardzo dobrze, że długą noc, jaka mię od zwidzenia owego upragnionego budoaru baletnic leśnych oddzielała, nie przespałem jak należy, lecz tylko przemarzyłem. Jakieś straszne, ze zdrowym rozsądkiem pogodzic się nie dające widziadła, prześladowały mię uporczywie; co chwila się budziłem, a raz nawet krzyknąłem przez sen tak głośno, żem wszystkich domowników z pościeli wypłoszył.

Śniło mi się, że jestem na polowaniu, że stoję na jakiejś tak wysokiej skale, iż chmury, zamiast unosić się nademną, płyną mi pod nogami, a z czarno-burego ich łona wystrzela raz po raz ognisty zygzak piorunu, któremu towarzyszy grom i łomot straszny, tak, iż cała skała trzęsła się pod mymi nogami, niby liść osiki. Przedemną widniał las. U stóp stoletnich sosen i buków rozsiadły się gęste krzaki, tworzące uroczo podszytą knieję, skąd co chwila dolatywał mych uszu szmer, mogący myśliwego wprowadzić w zachwyt niewysłowiony. Po za mną była niezgłębiona przepaść, na widok której w oczach mi się ćmiło. W kniei słyszałem silny gon ogarów i widziałem je nawet, jak od czasu do czasu przez polany znajdujące się między krzakami przebiegały, poczem ucięły. Za chwilę jednak poprawiły znowu i, jakby na komendę kapelmistrza tropowca, zagrały równocześnie wszystkie, a w tak szybkiem tempie, żem się domyślił, iż najprawdopodobniej gonią już na oko. Tak trwało chwilę, podczas której byłem w obawie, czy mi serce piersi nie rozsadzi. Przy końcu tego grania dał się słyszeć w krzakach, tuż przedemną, jakiś przytłumiony ryk, a potem skowyt konającego ogara. Pewnie odyniec — pomyślałem — i sięgnąłem ręką do torby, aby zmienić śrótowe ładunki na kule. Niestety, było już za późno! Na 20 kroków przedemną wyłonił się z krzaków myś ogromnych rozmiarów i stanąwszy na dwóch łapach, postępował ku mnie, groźnie pomrukując. W pierwszej chwili, ogarniony przestrachem, chciałem dyrnąć, lecz spostrzegłszy za sobą przepaść i śmierć w niej niechybną, zwróciłem się na nowo do mysia i postanowiłem bronić się lub drogo mu sprzedać swe życie. Złożyłem się tedy i czekałem spokojnie na mysia z zamiarem strzelenia mu śrótem raz i drugi w same ślepie. Jednakże nie mogłem zamiaru uskutecznić, bo w chwili, gdy miałem już pociągnąć za cyngiel, uczułem, że jakaś bestya z tyłu mnie szarpie i gryzie w nogę. Obejrzawszy się, ujrzałem starego już, całkiem siwego mykitę, który, odskoczywszy od mej nogi, stanął w oddaleniu kilku kroków i wyszczerzywszy zęby, śmiał się złośliwie z mojego rozpaczliwego położenia. Na widok tak bezczelnych drwin owego rabusia, zapomniałem o wszystkiem i skierowawszy strzelbę do lisa, wrzasnąłem na cało gardło: „A ty łotrze! wiedz o tem, iż nawet w obliczu śmierci nie zaniecham poprzysiężonej ci zemsty!“ I zacząłem mierzyć. Zanim atoli zdążyłem wziąć go na cel, wskoczył lis w gęstwinę i zniknął, a ja....

....zbudziłem się i uczułem rzeczywiście ból w nodze. Ból ten, jak się później okazało, pochodził stąd, iż w czasie snu wysunąłem nogę z pod kołdry i oparłszy ją na krawędzi łóżka, mocno ją ugniotłem. Mogła być wtenczas godzina 2-ga po północy.

Jakkolwiek miałem wyjeżdżać z domu dopiero o 6-ej, nie mogłem już ani spać ani leżeć i wstałem wkrótce potem, a byłem tą zmorą senną tak rozdrażniony, iż przychodziło mi na myśl, czy nie byłoby lepiej pozostać w domu. Ale należę do myśliwych, którzy ani razu w życiu nie zrobili strejku, więc i tym razem myśliwska pasya zdziałała tyle, że wysławszy senne dziwolągi na „hory, lisy i wertepy“ wyjechałem z domu o godzinę wcześniej, niż postanowiłem.

Przybywszy na punkt zborny, zastałem już gospodarza i nagonkę w komplecie. Spojrzawszy na kolumnę tej myśliwskiej armii, spostrzegłem stojącego obok nich leśnego, trzymającego na smyczy dwa gończaki, z których jeden miał tylko trzy nogi, bo jedną z przednich nóg, powyżej stopy, gdzieś stracił. Gdym wyraził zdziwienie, na co są psy i czy pies o trzech nogach przyda się nam na co, pouczył mnie gospodarz, że skoro nagonka miot przejdzie, zostaną psy puszczone, ażeby wyruszyły resztę zwierzyny, wracającej pomiędzy nagonkę w tył, lub zostającej po debrach.

— Za życia ś. p. Hosza — dodał — nie polowałem na Hełmie nigdy z psami, bo i on także po tamtej stronie góry z psami nie polował, ale po jego śmierci wszystko się zmieniło. Chłopi zaczęli bić sarny, więc lepiej, gdy je tu będę płoszył, aby się przeniosły w inne miejsce.

Co zaś do psa o trzech nogach, powiedział mi, że pies ten był niegdyś najlepszym i najdowodniejszym, i dziś jeszcze, mimo braku nogi, idzie rączo, trzyma zwierza długo, a często poprawia nawet drugie psy, tylko wielka szkoda,

że gdzieś w kuchni oparzył sobie nogę tak, iż później cała stopa mu odpadła.

W kwadrans potem zaczęła przyjeżdżać reszta myśliwych, z których jeden przyprowadził ze sobą jeszcze trzy gończaki. Polowanie zatem obiecywało być urozmaicone.

Po zwykłej wymianie grzeczności, ruszyliśmy pod Hełm, gdzie przybywszy, odezwał się gospodarz w te słowa:

— Panowie! komu szpik w nogach jeszcze nie wysechł, tego proszę, by na ochotnika pofatygował się aż na szczyt góry. Jest tam linia prowadząca samym grzbietem, więc rozstawiwszy się na flance, można strzelać do zwierzyny, przemykającej na drugą stronę góry, która już nie należy do mnie. Tylko proszę panów patrzyć dobrze na pendzel.

Wiedząc z praktyki, że zwierz ciągnie raczej do góry, niż na dół, zgłosiłem się pierwszy do szturmu na ten olbrzymi hełm, a za moim przykładem poszło jeszcze dwóch czy trzech myśliwych.

Chociaż byłem zawsze wytrwały na wszelkie myśliwskie trudy i znałem się już dostatecznie z chodzeniem po górach, muszę jednak wyznać, że jeszcze nigdy się tak nie zmachałem, jak przy wdrapywaniu się na grzbiet Hełmu. Czy to był skutek niewyspania się, czy w ogóle jaka wewnętrzna niedyspozycya, dość, że faktycznie byłem bliski omdlenia — mimo to nie wróciłem na dół, lecz porozpinawszy się aż do koszuli, szedłem dopóty, dopóki nie znalazłem się na szczycie. Pot ściekał ze mnie obficie, bieliznę można było wykręcić.

Stanąwszy wreszcie na wierzchołku, na linii, o której gospodarz wspominał, odetchnąłem głęboko, a spojrzawszy po okolicy, upajałem się rozległym i prześlicznym jej widokiem. Podczas tego towarzysze moi, co za mną dążyli, dostali się także na wierzch góry i poszli grzbietem nieco wyżej ku czołu Hełmu.

Stojąc już chwilę na stanowisku, jakie sobie obrałem, spojrzałem po linii na prawo i na lewo, a nie zobaczywszy nikogo, przeniosłem się, bez obawy naruszenia regulaminu myśliwskiego, na drugą stronę linii i stanąwszy tyłem do sąsiedniej kniei, oparłem się plecami o drzewo i nasłuchiwałem, kiedy nagonka się odezwie.

Tak stałem najmniej pół godziny żadnej zwierzyny nie widząc i żadnego głosu nie słysząc. Wiatr tylko mocował się z gałęziami drzew i zmuszał je czasem do wydawania przeciągłych, skrzypliwych jęków, pomimo, iż nie był bynajmniej jednym z tych szalonych wichrów, co to drzewa z korzeniem wyrywają. Owszem, pieszczotliwy ten boreaszyk zakradł mi się pod futerko i raczkował po moich krzyżach z mrówczym pospiechem, a skoro przycisnąłem lepiej plecy do drzewa, pchał mi się pod pachy i dopiero rękawami uchodził, powracając za chwilę tą samą drogą dopóty, dopóki nie wywołał dreszczu przy akompaniamencie dzwonienia zębami.

Będąc jeszcze spocony i obawiając się zaziębienia, chwyciłem oburącz manierkę i do wysychającej lampy życia dolałem owej alkoholicznej oliwy aż po same brzegi. Jakoż muzyka dreszczów i dzwonienia zębami ucichła i długi czas nie ponawiała się, jak się zdaje najbardziej z tego powodu, iż pierwsze głosy nagonki już dochodziły do mych uszu.

Nagonka mogła być jeszcze o jakie 150 do 200 kroków odemnie oddaloną, gdy padł strzał w stronie, gdzie się go najmniej spodziewałem, wiedząc, że po tej stronie nie stoi żaden z myśliwych. Przez kogo i do czego strzał był wymierzony — nie wiem, bo nie widziałem żadnej przez linię przemykającej zwierzyny, ale to wiem, że parę śrótów uderzyło w drzewo, pod którem stałem, parę zaś przeleciało tuż koło nóg moich. Zdziwiony niezmiernie takiem rozpoczęciem polowania, oglądnąłem drzewo i spostrzegłem na wysokości około pół metra od ziemi odartą z drzewa korę, z czego domyśliłem się, że strzał musiał być dosyć daleki i miał kierunek nieco ukośny, prowadzący, jak się zdawało, z wnętrza sąsiedniej kniei, do której plecami byłem obrócony.

Uszedłszy szczęśliwie postrzału, nie zadowolniłem się tem bynajmniej, lecz chcąc poznać tego, który, zamiast kozła, mnie chciał naszpikować, poskoczyłem na linię i pobiegłem linią w kierunku zbliżającej się ku mnie nagonki. W biegu patrzyłem w sąsiednią knieję, mianowicie w miejsce, z którego mniej więcej doleciał mnie huk strzału, i przy tej sposobności zobaczyłem, że coś mi się po za drzewami mignęło i zaraz znikło. Czy to była sarna, czy człowiek uciekający w postawie schylonej, tego rozpoznać nie zdołałem, a biegnąć za czemś niepewnem w las obcy, gdy tu nagonka ku mnie się zbliża, nie miałem ochoty. Jakoż zrównałem się wkrótce z nagonką i wyprzedziwszy ją o jakie 50 kroków, szedłem na skrzydle, postępując ciągle linią.

Uszedłszy tak ze sto kroków, usłyszałem strzały, padające, jak mi się zdawało, to na dole, to gdzieś w połowie i wreszcie na samym szczycie góry, a wkrótce potem podniosła nagonka ogromny krzyk w jednem miejscu, z czego wnosiłem, że prawdopodobnie stadko sarn wróciło na nagonkę i przebiło się. Jak się później okazało, domysł mój był trafny, bo za chwilę doleciał mnie tupot sarn już poza łańcuchem nagonki. Pobiegłem co tchu nazad i minąwszy szereg naganiaczy stanąłem i złożyłem się do strzału na samym środku linii, na wypadek, gdyby sarny chciały przejść do sąsiedniej kniei. Tymczasem tupot ucichł przed samą linią w oddaleniu najwięcej 50 kroków odemnie. Serce zabiło mi mocniej — jeszcze chwilka emocyi. Nareszcie wypadają na linię.... dwie kozy! Zawstydziłem się trochę mojego pospiechu, a spuściwszy oczy ku ziemi wróciłem się, nie wyprzedzając już nagonki, lecz wlokąc się zwolna za nią.

Po chwili powtórzyła się znowu ta sama historya. Z początku hałas nagonki, potem tupot raciczek w miocie prosto ku mnie i znowu cicho. O, w pole mnie już nie wyprowadzicie! — pomyślałem — nie głupim składać się przed czasem; pierwej zobaczę, a potem złożę się i strzelę. Lecz w tym wypadku zgrzeszyłem znowu zbytnią roztropnością. Z gęstwiny wypadł rogacz jak strzała i przesadziwszy jednym susem linię, zniknął w zaroślach po drugiej stronie góry.

Wtedy już mnie pasya porwała na siebie samego, zacząłem sobie robić wyrzuty, żem przyjechał na polowanie chyba tylko po to, aby słuchać, jak drudzy strzelają. Następstwem tych wyrzutów było znowu niezwykłe zniechęcenie, jakaś chorobliwa nuda i ponowne dreszcze. Usiadłem tedy przy krzaku i łyknąwszy na rozgrzanie spory haust z manierki, wydobyłem z torby kawałek mięsiwa, a posiliwszy się, zapaliłem papierosa i czekałem, kiedy psia orkiestra rozpocznie swój koncert.

Po dość długiej chwili oczekiwania doleciały mnie nareszcie pierwsze tony psiej orkiestry. Niebawem ucichły, ale jeden z psów wnet poprawił i przez dłuższy czas grały znowu w wielkiej zgodzie, przenosząc się to na prawo, to na lewo odemnie. A ponieważ takt wybijały doskonale, więc i ja z mocno bijącem sercem tańcowałem podług taktu, podbiegając mazurowym krokiem to na prawo, to na lewo, przyczem udało mi się wyciąć parę tak zwinnych i zgrabnych hołubców, jak gdybym miał dopiero lat ośmnaście.

Podczas tego tańcu usłyszałem znowu tupot pomykających sarn. Przystanąłem więc chwilkę i spostrzegłem w mio-

cie na małej polance, wychyloną z poza krzaka sarnią głowę. W mgnieniu oka złożyłem się, aby strzelić, skoro się przekonam, że to kozioł. Niestety była to koza, za którą wyskoczyła i druga taka sama.

A czy licho nadało z tymi kozami, czy co? Splunąłem ze złości i już chciałem odejść, gdy znów coś zadudniło i stanęło za tym samym krzakiem, za którym przed chwilą były dwie siuty. Rzuciłem okiem i spostrzegłszy między gałęziami mały płat siwy, niby połeć sarny, wymierzyłem w sam środek onego, rozumując równocześnie: skoro dwie siuty już przeszły, to trzecia sztuka niezawodnie rogacz. Oprócz tego jakiś zły duch poddawał mi jeszcze myśl: Co będzie to będzie — strzelaj! Już miałem pociągnąć za cyngiel, gdy na szczęście jakiś drugi, lepszy duch, przywołał mi na pamięć myśliwskie prawidło: Nie strzelaj nigdy, dopóki nie rozpoznasz do czego mierzysz i dopóki nie rzucisz okiem ze 30 kroków po za zwierza, bo o nieszczęście nie trudno!

Reguła ta, której przez całe moje życie przestrzegałem, zwyciężyła — i dzięki Opatrzności, że tak się stało, bo za chwilę ujrzałem wysuwający się z poza krzaku cały bok i lewe ramię jakiegoś chłopa! Skoro tylko rozpoznałem, że ten siwy płat był gunią okrywającego człowieka, pociemniało mi w oczach. Zebrawszy jednak wszystkie siły, ryknąłem głosem niedźwiedzia: „A ty tu co robisz drabie!“ — i tyle go widziałem — gdyż umknął zaraz, dając tylko dudnieniem znać, którędy uciekał.

O święty Hubercie! dzięki Ci po stokroć, żeś raczył najpokorniejszego sługę Twego zachować w swej opiece. Dzięki także i Tobie, święty Floryanie, żeś zagasił w czas ogień myśliwskiej gorączki, bo cóżby się było stało, gdybym był strzelił? Przysięgam Wam, że aż do śmierci nigdy w takich warunkach nie strzelę!

Kto był ów człowiek, którego życie wisiało na muszce mej strzelby, naganiacz, czy kłusownik — nie wiem — bom go całego nie widział, a w chwili, gdy znikł za krzakiem, życzyłem sobie, abym go w życiu mojem nigdy więcej nie zobaczył.

Ta fatalna przygoda podcięła mnie do reszty; chciałem zaniechać dalszego polowania i zejść na dół z tej góry, gdzie mnie jakieś przeklęte fatum prześladowało. Zarzuciwszy też strzelbę na plecy, podążyłem chwiejnym krokiem w kierunku, którędy poszli naprzód moi towarzysze.

Idąc środkiem linii, nie zwracałem już na nic uwagi, tylko patrzyłem, czy nie ma gdzie ścieżki, aby zejść na dół i odszukać resztę myśliwych, którzy, jak przypuszczałem, musieli już być na dole.

Tymczasem psy przeniosły się na drugą połowę góry i rozpoczęły na nowo gon niezgorszy. Jakże tu wracać, skoro tak prześlicznie grają? — Zapomniałem w jednej chwili o wszystkiem i upatrzywszy dogodne stanowisko, stanąłem plecami do kniei, gdzie się polowanie odbywało, twarzą zaś zwróciłem się ku lasowi, znajdującemu się na drugiej strony góry. Zaledwie odciągnąłem kurki, słyszę naprzeciw w krzakach: czap-czap, czap-czap. Rzucam okiem i widzę jak mykita, wychyliwszy „czuj“ z po za krzaka, zaczyna bacznie rekognoskować. O, rany Boskie! co tu zrobić! Lis stoi w krzakach, na obcem terytoryum, a może za nim jest jeszcze i człowiek? Nie strzelam więc, tylko czekam, kiedy wysunie się na linię, jednak naprożno — bo za chwilę przepadł, jak kamień w wodę....

W pięć lub dziesięć minut pe ucieczce lisa, sadzi na linię istny ciwun sarniej rzeszy na Hełmie. Z powagą iście wójtowską zadziera łeb do góry, staje, stawia łyżki i zaczyna nasłuchiwać. Złożyłem się, trzymam łeb jego na celu, nie strzelam jednak, mimo, iż wszystkie ruchy i postawa wskazują jak najdowodniej, że to rogacz. A któż wie? — myślę — może nie rogacz? Wolę wprzód ujrzeć niezawodny patent na capa i strzelić na pewniaka, tembardziej, że miejsce do strzału jak najdogodniejsze. Jeszcze moment oczekiwania. Rogacz postąpił krok naprzód i okazał, że nim jest rzeczywiście. No! mam cię przecież raz — pomyślałem — lecz w chwili kiedy miałem pociągnąć za cyngiel, dał się słyszeć krzyk:

— Tu nie wolno polować! oddaj pan stselbę!

Zamiast wystrzelić, obejrzałem się i spostrzegłem w odległości dziesięciu kroków chłopa o dwóch metrach długości, a cap tymczasem poszedł używać swobody. Stałem jak skamieniały ze złości i formalnie odurzony nadmiarem „pechu“.

— Oddaj pan stselbę! — powtórzył chłop dwumetrowy — ja mom prawo zabrać stselbę kuzdemu, kogo psydybam.

Przyszedłszy wreszcie do przytomności, a domyślając się, że chłop dwumetrowy jest dozorcą sąsiedniego lasu, odparłem spokojnie:

— Nie przeczę, że masz prawo odebrać strzelbę temu, kto będzie polował w lesie, którego ty pilnujesz, ale nie mnie, bo ja jestem tu na swoim gruncie, na granicy.

Chłop, widząc, że jego podniesionego głosu się nie uląkłem i nie okazuję chęci oddania mu strzelby, rzekł już nieco łagodniej:

— A co mi ta do granicy! Kiej psy gonią w nasym lesie i ja ich postsylam.

— Tego zabronić ci nie mogę — odparłem. — Ale skoro jesteś człowiekiem sumiennym, to raczej pochwytaj je i zabierz do domu, bo co biedne psy temu winny, że granicy nie znają.

Powiedziawszy to, odwróciłem się i poszedłem linią ku końcowi góry, a przeklinałem w duchu wszystkie Sylwanki i złośliwe Chochliki leśne, najbardziej zaś dwumetrowego chłopa, że mi przeszkodził strzelić do rogacza. Wyszukawszy następnie ścieżkę, zszedłem na dół i spotkałem się wkrótce z posłańcem, którego po mnie wysłano.

Myśliwi siedzieli koło ognia, roznieconego u stóp góry Hełmu i kończyli śniadanie, bo to było już około 1-ej po południu. Gdym się z nimi złączył, dowiedziałem się, że każdy z nich przynajmniej raz strzelił — mnie tylko, mnie jednego zaklęło.

Na rozkładzie nie było jednak bardzo dużo — lis i dwa zające, — szanowni koledzy Nemrodzi chybiali tak gruntownie, że nawet farby i turzycy nie było ani śladu.

Gospodarz, widząc moją zasępioną minę, kazał, by mi podano gorącego bigosu i zapytał:

— A pan widziałeś co i strzelałeś, czy nie?

— Widziałem kilka siut — odrzekłem, i opowiedziałem zajście z dwumetrowym chłopem, nadmieniając przytem o niebezpieczeństwie, jakie psom zagrażało, ale zamilczałem wszystko inne.

Po śniadaniu wzięliśmy, już tylko z nagonką, parę miotów na niższych pagórkach, ponieważ psy dopiero może po dwóch godzinach przywlokły się, okrutnie pomęczone, lecz nie postrzelane.

Odjechałem do domu jeszcze przed ukończeniem polowania, nie zdoławszy i tu ani razu dojść do strzału.

— I proszę państwa, czy tu nie wierzyć złym snom?

Seweryn Kisielewski.

Z OBCYCH ŚWIATÓW.

Na stokach Himalajów.

Zapiski angielskiego oficera.

(Dokończenie).

W poniedziałek rano zbudziły mnie jasne promienie słońca. Postanowiłem skorzystać z pogody i przenieść się z całym obozem o dwie godziny dalej, do wioski, leżącej już prawie na granicy śniegów.

W czasie pochodu, buszując po bokach drogi, zabiłem gerra, a wkrótce potem młodego lamparta, który nie był większym od rosłego kota domowego. Leżał on pod złomem skały i spłoszony naszym pochodem, zaczął umykać.

Przybywszy do wioski, ujrzałem na podsieniach domów wiszące łuki i kołczany ze strzałami. Cięciwy łuków były kręcone z wymoczonych w oleju włókien bambusowych. Mieszkańcy opowiadali mi, że w porze zimowej, gdy zwierz w głębokim śniegu się zapada i pomykać nie może, zawdzięczają swym łukom niejedną zdobycz myśliwską.

Gdyby tylko połowa tego była prawdą, co moi szikarowie i mieszkańcy wioski o bogactwie zwierzyny w tych okolicach opowiadali, to mógłbym liczyć na połów wyśmienity.

Dnia 17. maja zaświtała piękna pogoda, wyruszyłem więc jeszcze przed zupełnym wschodem słońca i dostałem się wnet na szczyt odosobniony, panujący nad sąsiednimi dolinami. Mogłem stąd przeglądać dokładnie najbliższe stoki i wkrótce też wypatrzyłem rudel, złożony z 11-stu dzikich owiec, które się głęboko podemną pasły.

Stok był bardzo spadzisty; chcąc zatem lepiej grunt nogami chwytać, zdjąłem obuwie i tak spuszczałem się na dół. Gdym się już na odległość strzału do tharów zbliżył, miałem je niemal pionowo pod sobą, na zarosłej trawą halce. Położyłem się na brzuchu, w obawie zaś, abym się nie stoczył, kazałem szikaremu, aby siadł na moich nogach.

W takiej dziwacznej i niebezpiecznej pozycyi zmierzyłem się i strzeliłem. Zrazu zasłonił mi wszystko dym strzału, gdy się zaś rozszedł, nie było już ani jednej owcy na hali.

Z niesłychanym mozołem spuściliśmy się na ową halę, ażeby zbadać rzecz na miejscu. Znaleźliśmy tu farbę, a o jakie 150 kroków mocno postrzelonego thara. Posłałem mu drugą kulę i padł na miejscu, gdy się jednak szikari ku niemu zbliżył — zerwał się jeszcze raz i jął uciekać.

Szikari miał na ramieniu moją drugą kulami nabitą dubeltówkę. Puścił się więc za tharem tak szybko, jak tylko na to niebezpieczny teren pozwalał, i wkrótce usłyszałem strzały.

Po niejakim czasie ukazał się szikari z powrotem, ale bez barana. Raportował, że strzelił kilka razy do umykającego zwierza, ale go chybił, a w końcu stracił farbę i nie mógł iść za nim dalej.

Zirrytowany tem niepowodzeniem, nakazałem szikaremu, żeby jeszcze raz poszedł za tropem i żeby mi się w obozie bez thara nie pokazywał. Szikari poszedł; ja zaś, wypocząwszy nieco, ruszyłem bez towarzysza, w nadziei, że przecież jeszcze na spłoszone strzałem stadko natrafię.

Wtem puścił się ulewny deszcz. Grunt rozmókł i stał się tak śliskim, że nie mogłem się na nim utrzymać. To też na spadzistym stoku pośliznąłem się; upadłem i zacząłem się toczyć ku przepaści, która nieco dalej pionową niemal ścianą w głąb spadała. I byłbym się zabił niezawodnie, gdyby nie krzewina, której się po drodze chwyciłem. Zatrzymawszy się, zerwałem się jednej chwili na nogi i czułem się już bezpiecznym, a jakiego doznawałem uczucia, pojmie każdy, kto się w podobnem niebezpieczeństwie znajdował.

Gdym stanął w obozie, był już mój szikari na miejscu i miał ze sobą barana. Badając go, przekonałem się, że druga moja kula zgruchotała mu obie łopatki i że mógł się tylko na tylnych cewkach dalej poruszać. Jakim więc sposobem zdołał jeszcze po tym strzale próbować ucieczki — było dla mnie zagadką.

Gurale i kakury zdają się być tu dosyć częste, gdyż widziałem po drodze liczne ich tropy. Spotykałem także bażanty, alem nie strzelał do nich, nie chcąc rewiru mego niepokoić.

Następnego dnia padał deszcz bez przestanku, więc trzeba się było wyrzec myśliwskiej wycieczki.

W ciągu dnia przyszedł do mnie jeden z mieszkańców wioski, przyniósłszy skórki z bażantów na sprzedaż. Żądał po rupii (t. j. niespełna po guldenie) za sztukę, za którą w Mussorie po 10 rupij płacono, a że mi dozwolił wybrać, którą mi się podobało, więc zgodziliśmy się natychmiast. Przychodzili też do mnie ludzie z prośbą o pomoc na różne choroby i dolegliwości. Mają oni tu w ogóle każdego Europejczyka za lekarza i nadarmo silisz się im wytłumaczyć, że tak nie jest. Chcąc się ich pozbyć, dałem im nieszkodliwe ale bardzo silnie działające pigułki i tem ich zadowolniłem.

Nazajutrz ustał deszcz i wnet udało mi się podejść thara, ale go chybiłem. Odgłos strzału spłoszył jednakże inne stadko owiec, którego wprzód nie dostrzegłem. Złożywszy się prędko, zdołałem posłać kulę innemu, wielkiemu baranowi. Głęboki parów dzielił mnie niestety od trzcinowej gęstwiny, w której, wedle mego przypuszczenia, zaległ trafiony thar, a że poczynało się już ściemniać, musiałem poszukiwania na drugi dzień odłożyć.

Gdym wracał, schodząc po bardzo spadzistych zboczach, napadł mnie grad i burza, jakiej jeszcze nigdy w górach nie widziałem. Wśród strumieni deszczu i ciemności nocnych zdołałem zaledwie dotrzeć do obozu, gdzie filiżanka gorącej herbaty i wieczerza stały się dla mnie istnem zbawieniem.

Ulewy dni ostatnich przemoczyły na wskroś płócienny dach mego namiotu, mimo to czułem się zupełnie zdrowym i krzepkim. Podobna wilgoć w nizinach indyjskich sprowadza zaraz febry i reumatyzmy na człowieka.

Po burzy i ulewie nastąpił jasny, wspaniały poranek. Powietrze było przeczyste, chociaż dość chłodne. Poranek taki bywa głuchym, nie słychać ani jednej ptaszyny, lecz bo też spiewu ptasiego mało tu w ogóle słychać.

Jeden z moich szikarich opuścił już przed świtem obozowisko, ażeby postrzelonego wczoraj thara odszukać. Gdy

słońce więcej się w górę podniosło, zrobiło się gorąco i muchy i innego rodzaju latające owady zaczęły nam dokuczać.

Dzień ten nie był dla mnie szczęśliwym. Nie przyszedłem do strzału, choć spotykałem liczne tropy dzików. Dopiero pod wieczór ubiłem dużego odyńca. Tutejsze dziki są w ogóle mniejsze i ciemniej ubarwione, niż dziki w równinach, ale mięso ich jest smaczniejsze.

Późnym już wieczorem wrócił szikari z gór i przyniósł postrzelonego wczoraj barana. Po długiem szukaniu znalazł go jeszcze żyjącym i musiał dać kilka strzałów, żeby go dobić. Kulę moją dostał ów baran za wysoko, ponad łopatką. Bywają to zwykle strzały, po których trzeba jeszcze zwierza długo szukać i ścigać. Szikari zadał sobie widocznie bardzo wiele trudu, ażeby mego postrzałka odnaleźć i dlatego wynagrodziłem go za to osobno niewielkim datkiem pieniężnym. Baran ów miał rogi duże i grube. Jeszcze tej nocy rozebrano go i ledwie na pół dopieczony przewędrował do żołądków mej obozowej gromadki.

Całą sobotę padał znowu deszcz, w niedzielę zaś nie zwykłem nigdy polować — tak więc straciłem dwa dni. W poniedziałek pogoda dopisała, więc postanowiłem wyruszyć tym razem na bażanty.

Polując na thara, spotykałem już nieraz bażanty rozmaitego gatunku. Zdają się one w tej części Himalajów być pospolite, gdyż wczoraj ujrzałem szczególny przyrząd do łowienia bażantów. Na lesistym grzbiecie góry natrafiłem na płot znacznej, bo do 800 kroków mierzącej długości, a na trzy stopy wysoki. W płocie tym był u dołu co 30 kroków otwór, dość duży, ażeby bażant mógł się przezeń z łatwością przedostać. Bażant, przybywszy do tego płotu, jest za leniwy i za ciężki, ażeby się wznieść i płot przelecieć; idzie więc wzdłuż płotu i gdy znajdzie otwór, stara się przezeń prześliznąć. W otworach tych jednak są siłka z włosienia, w które się biedny bażant chwyta. Złapany nie zawsze się dusi, nieraz więc biorą go żywcem i wynoszą na targ do Mussorie. Mięso bażantów himalajskich jest łykowate i mniej smaczne od mięsa bażantów europejskich.

Dotychczas nie strzelałem do bażantów, nie chcąc wielkiej zwierzyny niepotrzebnie płoszyć, teraz wszakże wziąłem ze sobą nietylko moich szikarich, lecz także tragarzy i urządziłem z nich formalną nagonkę na bażanty. Już niedaleko od obozu, udało mi się zrobić dubletę do bażantów, t. zw. „koklasów“. Urządziliśmy też polowanie w dolinie, ażeby na górach grubszej zwierzyny nie płoszyć. Skoro jednak po trzechgodzinnem polowaniu, mimo nagonki, jednego tylko bażanta innego gatunku (zwanego „bunchal“) ubiłem, zwróciłem się ku górom. Strome ściany i głębokie parowy wstrzymały tu wkrótce nasz pochód i długo trwało, zanim moi strzelcy znaleźli możliwą do przebycia ścieżkę.

W połowie stoku, na któryśmy wchodzili, nawinął się pod lufę „gural“, który padł na miejscu, padając wszakże stoczył się po stromym urwisku w rwący potok górski i wody go uniosły.

Przybywszy na obszerną, lasem porośniętą halę, kazałem ją znowu nagonce przepędzić, stanąwszy sam na otwartem miejscu. Zaledwo gon się rozpoczął, ujrzałem dwa bażanty (z gatunku „munal“), które daleko ku dołom zleciały, wkrótce jednak zerwała się bliżej inna para tych ptaków i oba je położyłem. Później zastrzeliłem jeszcze „argusa“ i dałem rozkaz odwrotu, a byłem szczęśliwy, żem w powrocie przez urwiska całe kości doniósł do obozu.

Dnia następnego wybrałem się znowu na dzikie owce. Szikarowie — nabrawszy widocznie o moich nogach i niezawrotności głowy dobrego wyobrażenia, skoro ostatniego wieczora nie skręciłem karku — zaproponowali, abyśmy się puścili w dziką i wielce niedostępną partyę gór, gdzie spodziewali się większą ilość tharów nadybać. Zgodziłem się na ich wniosek i przekonałem się wkrótce, że szikarowie wysoko mnie cenili, bo trzeba zaiste ludzi o zdrowych kolanach i głowach, aby iść bezpiecznie pomiędzy przepaście takimi ścieżkami, jakimi oni mnie wiedli.

Długo chodziłem wśród tych dzikich skał i urwisk, zanim ujrzałem pojedyńczo stojącego wielkiego thara. Udało mi się podejść go. Strzeliłem — padł po strzale, potoczył się nieco z urwiska, potem zerwał się na nogi i znikł za skałą.

Gdym odpoczywał, krzepiąc siły przyniesionem ze sobą śniadaniem, poszli moi strzelcy za postrzałkiem i znaleźli go wkrótce, już bez życia, na dnie głębokiego jaru. Była to sztuka ciężka, tak, iż nie mogli jej z jaru wydobyć; nie pozostawało więc nic innego, jak obielić barana na miejscu, poćwiertować i zabrać rogi, skórę i co się dało cenniejszych części mięsa.

Pozostawszy sam, wyszedłem na oryginalny szczyt góry, a usiadłszy tu, podziwiałem przecudny krajobraz. Wtem dość blisko koło mnie pojawił się orzeł, szybujący ponad szczytami. Spróbowałem ściągnąć go kulą i broń mnie nie zawiodła, ale orzeł spadł w tak głęboką czeluść, że musiałem go już tam zostawić.

Wracając do obozu, ubiłem węża, pierwszego, którego w tych górach zdarzyło mi się widzieć. Ludzie moi twierdzili, że to gatunek jadowity, lecz u nich każdy wąż jest jadowitym, jakiego tylko zobaczą.

Niemal równocześnie ze mną wrócili moi szikarowie ze zdobyczą. Przyniesione przez nich rogi thara były wielkie, ale nie takie ładne, jak się spodziewałem.

Jutro zamierzam przenieść się do wsi Sillpurah, gdyż mi mówią, że tam w pobliżu ma być dużo dzikich owiec.

W drodze do Sillpurah przebywałem okolicę bardziej lesistą. Stoki gór okrywa bujna roślinność, między drzewami przeważa dąb i jodła. Ujrzałem i stadko tharów, ale nie chciałem ich podchodzić.

Otoczenie mego nowego obozowiska jest zachwycające; musiałbym długo szukać, żeby drugie równie piękne wynaleźć. Namiot rozbitym został na zielonej łączce, przerzniętej szumiącym strumykiem. Śniegiem okryte, skaliste szczyty są tłem obrazu, podczas gdy wspaniałe dęby i jodły otaczają łączkę. W głębi pod mem obozowiskiem widnieje szeroka, uprawna dolina z licznymi wsiami. Są to kontrasty, które się w tych górach często napotyka.

Zaledwom nazajutrz zjadł śniadanie, wyruszyłem w góry, aby się rozpatrzyć, gdzie może być owe, wczoraj widziane stadko owiec. Wkrótce ujrzałem samego thara, który zdawał się stać na straży. Po jakim kwadransie ściągnęło się ku niemu jedenaście starych owiec i czworo jagniąt, które najprzód żerowały, a potem się pokładły. Teren był tu bardzo trudny i zanim zdołałem podkraść się pod nie na odległość strzału, już ich nie było. Widocznie zasłyszały nasze kroki i uszły w bezpieczniejsze miejsce.

Gdyśmy wracali, zerwała się śnieżyca tak gwałtowna, że nic nie można było na około widzieć. Szczęściem natrafiliśmy na jakąś jaskinię, do której można się było schronić i roznieciwszy ogień, wicher i śnieżycę przeczekać.

Wynagrodziła mi się ta przymusowa przerwa. Gdyśmy bowiem znowu ku obozowisku wyruszyli, powiodło mi się ubić jelenia „kakura“. Gdym go ujrzał, stał w odległości 80-u kroków, sam jeden na skale i rozglądał się po okolicy. Prześliczna to była sylwetka na jasnem tle zachodniego

nieba. Ugodzony celnie w komorę, padł na miejscu i stoczył się w gęstwinę rododendrów, rosnących u stów skały. Bardzo się nam przydał, gdyż nie mieliśmy już żadnej dziczyzny w obozie.

Jestem teraz tak wysoko w górach, że wyżej niepodobna by już było obozu rozbijać. O ćwierć godziny drogi od mego namiotu rozpoczyna się wieczny śnieg i po raz pierwszy w ciągu całej wyprawy nie mogłem dostać mleka.

D. 26 maja buszowałem długo wśród pobliskich gór i musiałem często aż po kolana w śniegu brodzić. Znalazłem liczne tropy piżmowców, także ślady thara, ale żadnego żyjącego stworzenia nie zdołałem dostrzec. Raz usłyszałem w pobliżu dwa strzały. Polowali to niewątpliwie krajowcy na bażanty (munale) i popsuli mi polowanie.

Tu, na szczytach, jest powietrze tak czyste i przejrzyste, że odległe bardzo przedmioty wydają się bliskimi. Rzeki Jumna i Ganges połyskują jak wstęgi w promieniach słońca, a wysoko nademną leżące Gangetri wydaje się tak blisko, że niemal ręką chce się po nie siągnąć.

Pogoda była przepyszna, lecz wkrótce zaczęły się gromadzić chmury na zachodzie i odgłos dalekich grzmotów rozlegał się w górach. Postanowiłem zatem już tylko dzień na tych wyżynach pozostać, ubić o ile możności jeszcze jednego thara i rozpocząć odwrót ku Mussorie.

D. 27 maja wstałem bardzo wcześnie. Było jeszcze ciemno i bardzo chłodno. Po czterogodzinnem wspinaniu się stanąłem wreszcie w miejscu, skąd zdało mi się widzieć przez szkła stadko dzikich owiec. Niestety, po bliższem zbadaniu, okazało się, że nie są to owce, ale brunatne, pojedynczo rozrzucone krzaki. Tak więc wyprawa dnia tego pozostała bezowocną, gdyż ani jednej sztuki zwierza nie widziałem. Dopiero idąc z powrotem ubiłem na 200 kroków „gurala“, pasącego się samotnie na górskiej przełęczy.

D. 28 maja zwinęliśmy obóz i rozpocząwszy odwrót ku dołom, znaleźliśmy się po 6-godzinnym marszu we wiosce Gulah. Tu przed domem naczelnika gminy ujrzałem świeżą skórę i rogi thara, dopiero przed trzema dniami ubitego. Pokazywał mi naczelnik swą strzelbę, bardzo lekką, lecz dobrze zrobioną, z przodu nabijaną kabzlówkę i prosił o proch i kule — ale mu ich nie dałem, gdyż działając w interesie łowieckim i w obronie zwierzyny, miejscowym tym łowcom zawsze amunicyi odmawiam.

Dojrzały właśnie maliny i poziomki. Mnóstwo tych jagód znosiły mi wiejskie dzieci. Bardzo się to przydało jako wyborne orzeźwienie po długim marszu wśród dnia gorącego. Mamy bowiem upał i powietrze ciche bez najmniejszego wietrzyku.

Następnego dnia, tuż za wsią, strzeliłem do dzika, ale nie miałem czasu, aby iść za nim i pozostawiłem tę zdobycz mieszkańcom wioski.

D. 30 maja doszliśmy do wsi Dundah i do Gangesu, noszącego tu jeszcze nazwę Bhargirettie. Zetknęliśmy się z gromadką angielskich myśliwych, którzy dopiero co z Europy przybyli. Dałem tym panom, jako frycom, kilka pożytecznych wskazówek, które ich mogą przed wyzyskiem ochronić.

Nie mam już nadziei spotkać grubego zwierza, więc marsz mój przyspieszam. D. 31 maja przybyłem do wsi Dinesi, której okolica obfituje w czarne kuropatwy. Także gurale i kakary przebywają w tamtejszych górach. Miałem zrazu ochotę kilka dni w Dinesi zabawić, ponieważ jednak pogoda mi sprzyjała, a bałem się, aby mi słoty podróży nie utrudniły, zadowolniłem się ubiciem kilku kuropatw i ruszyłem dalej.

D. 2 czerwca stanąłem z powrotem w Mussorie i miałem wszelkie prawo być zadowolonym, nietylko z mych trofeów łowieckich, lecz jeszcze bardziej z tego, że czułem się pokrzepionym na zdrowiu, które w skutek dłuższego pobytu w południowych Indyach wiele ucierpiało. Przeł. *St.*

O piątkę.

Obrazek myśliwski.

Jestem w niemałym kłopocie. Mam opisać zdarzenie, w którem wymienić mi trzeba pewne ubranie, a nazwa ta nie jest salonową. Lecz cóż robić? Brzydzę się cyrkumkonsprypcyą, więc będę nazywał dziecko po imieniu, a jeżelibym zgorszył czytelniczki „Łowca“, to zrobię tak, jak teraz się zwykle dzieje na świecie, — zwalę winę na drugiego, włożę mu ten wyraz w usta, a że żyje, niechaj odpowiada, niechaj ginie spalony na stosie, bylem ja został przy życiu.

Przed wielu laty zaprosił nas kilkunastu Józef Jordan do Rudenki na polowanie z gończymi. Zaraz w pierwszym miocie stanął zakład o pięć reńskich między W. Marynowskim a E. Leszczyńskim. Leszczyński utrzymywał, że będą sarny, pierwszy przeczył — więc zakład. — Puszczono psy — sarny były, zabito kozę, Leszczyński wygrał pięć reńskich.

Podczas śniadania panował dobry humor, żartowano przy bigosie, wędlinach i starce. Leszczyński mówi:

— Wygrałem piątkę, trzebaby ten kapitalik pomnożyć. Może znów jaki zakład? Naprzykład o strzał jaki?

Oświadczyłem gotowość do strzelania. Na to mówi Leszczyński:

— Z tobą nie chcę, bo straciłbym piątkę, choćbyś strzelał do podrzuconego grajcara. Ot tak z Władziem, to co innego; będę się zakładał chętnie, rzucę mu ....porteczki i trzymam pięć reńskich, że nietrafi.

Władzio Znamirowski, dziś już nieboszczyk, nie dowierzał swemu strzelaniu i nie chciał zakładu. Posypały się więc przycinki, dowcipy — ale przerwał je gospodarz, wzywając do obstawienia następnego miotu.

Zabito parę sztuk, lecz psy poszły za lisem światami, trzeba było czekać powrotu. Wówczas zawołałem Znamirowskiego w głąb lasu i rzucałem mu grubą trzaskę w górę

a on mierzył i ściągał cyngiel jakby strzelał. Po długich próbach oświadczył mi, że jest pewny, iż pantalony trafi.

Idziemy do towarzyszy, którzy siedzą pod lasem i czekają na psy. Znów humor wyśmienity, pełno żartów. Zaczepiam Leszczyńskiego, czy się będzie zakładał. Na to on odpowiada:

— Z tobą się boję, ale jak mówiłem, Władziowi trzymam.

Na kraju grupy siedział ś. p. hr. Bronisław Stadnicki z Olszanicy, a obok niego leżał filcowy siwy kapelusz. Władzio kładzie pięć reńskich na kapelusz i mówi:

— Trzymam.

Położył Leszczyński piątkę i zaczyna zdejmować (ale że to ja mówię) .... krawatkę. Położenie arcykomiczne. Leszczyński chłop tęgi, w krótkiej kurtce, spodem całkiem na biało, pochylał się, aby kurtką zakryć jak najwięcej koloru niewinności — ale to nie szło. Im więcej naciąga, tem więcej widać. Związuje wreszcie z .... krawateczki węzełek, prostuje się, rzuca go do góry i woła:

— Na masz, strzelaj!

Władzio strzelił, a drgnięcie węzełka świadczyło, że trafił. W istocie zakład wygrał — jedna nogawica miała wyżej kolana 7 ziarnek grubego śrótu a więc 14 dziur, bo przeszły na wylot a że wszystko związane było, więc śróty przeszły jeszcze dalej, w część ponad stopą, a więc znów dziur czternaście! Śmiech ogólny towarzyszył całemu zdarzeniu. Krawatka była ciemna, lecz gdy ją Leszczyński wdział na siebie, białe tło ze spodu przebijało w 28 miejscach. Więc znów śmiech. Leszczyński począł narzekać:

— Śmiechu ze mnie za 1000 złotych i moja gorżko zarobiona piątka poszła, a w dodatku pozbawiłem się porteczek. Ja tego nie daruję, muszę się na kimś zemścić.

I w ostatnim miocie wymyślił zemstę następującą:

Bawił u Jordanów ojciec jego żony, Bobowski. Staruszek lubił polowanie, ale był tak niezwykle dobrej tuszy, że nie mógł chodzić. Na konia wsiąść nie był w stanie, na wózek wsiadał tylko z wielką trudnością — słowem na polowaniu zawadzał. A że się bał jak ognia, aby go nie postrzelono, odstraszano go więc tym sposobem, że któryś rano od niechcenia mówił: „Dzisiaj wiele i różnych myśliwych, boję się, by mnie nie postrzelili“ — i stary mawiał wówczas: „Choć jest ochota, zostanę dziś w domu“. Dnia tego także tym fortelem odradziła mu córka, że nie pojechał.

Wracamy do domu Leszczyńskiego, a tu dwóch towarzyszy znosi go prawie z wózka. Bobowski w ganku pyta:

— Jezus Marya! A to co?

Leszczyński mówi:

— Hrabia tak nieuważnie strzelił do sarny, że mnie trafił w nogę. Ot, śróty tutaj weszły, a tędy wyszły.... Oho, już po moim polowaniu, przepadło!

Staruszek obraca się do córki i mówi całując ją w czoło:

— Dziękuję ci Felisiu, żeś mi odradziła jechać na polowanie, bo to byłoby mnie niezawodnie spotkało.

Leszczyńskiego odprowadzają do pokoju, a stary robi hr. Stadnickiemu, który o niczem nie wie, wymówki i uwagi, jak to ostrożnie trzeba się z bronią obchodzić. Hrabia się obrusza — nakoniec wydaje się cała sprawa.

Wesołe grono myśliwych do późna w noc żartowało ze zdarzeń dnia tego, który tak przyjemnie spędzili w gościnnym domu państwa Jordanów — a Leszczyński zawsze potem do mnie mawiał:

— Nikt inny tylko ty wypłatałaś mi takiego figla! — I co to mówić — miał racyę.

Teofil Żurowski.

KORESPONDENCYE.

Z pod Mińska w listopadzie 1891.

(Polowanie z jamnikami na wilki).

Opowiem rzecz, która się wyda nieprawdopodobną, ale mam na to licznych świadków i mogę zaręczyć, że każde słowo prawdziwe.

Było to w czerwcu, w Gródku, majętności hr. Jana Tyszkiewicza. Dowiedziawszy się, że w znanych norach w lesie są prawdopodobnie lisy, wziąłem moje trzy jamniki, nająłem ludzi do kopania i ruszyliśmy do lasu. Na pewno nie wiedziałem, jaką mamy zwierzynę, czy to lisy lub borsuki, czy może wilki lub rysie; prędzej myślałem o rysiach. Obawiałem się też o jamniki, ale pomyślałem po ukraińsku: „Raz maty rodyła! na to ich mam!“

Przyjechaliśmy na miejsce. Było kilka nor. Miejsce górzyste i las dość gęsty. Rozstawiliśmy się, aby pilnować i strzelać, gdy lis, czy co innego z nory wyskoczy. Ja sam, też ze strzelbą, ale komenderuję jamnikami i puszczam je do nor. Pognały odrazu pod ziemię i w jednem miejscu zaczęło się szczekanie. Przyłożyłem ucho do ziemi, coś bardzo grubo burczy i warczy i nie zadługo wyskakuje młody wilk z nory. Leśnik bęc — wilk padł. Był już tak duży jak średni pies, dwa razy większy od jamnika. Jamniki wyskoczyły za nim i zaczęły go rwać i kąsać. Odpędziłem je, aby szły jeszcze do nor.

Przyłożyłem ucho do nory, słucham i słyszę, iż hałasują na miejscu, ale dalej od owego miejsca, gdzie wilczuka ubito. Wtem wszystkie trzy jamniki wyskakują po jednemu z jamy; widać wilk za nimi popędził. Wtedy wskazałem ludziom miejsce do kopania. Jamniki tak były wylękłe, że nie chciały już iść do nory, ale „Śrubka“, wabiąca się tak suczka, bardzo dobra, po zachęceniach z mej strony poszła nareszcie. Schyliłem się do nory i krzyknąłem „Weź go!“ Więc i te oba jamniki poszły za suczką.

Proszę cię łaskawy czytelniku, abyś nie myślał źle o moich jamnikach, abyś ich nie posądzał, że tchórzą. Wszakże one po raz pierwszy ujrzały w norach innego zwierza, a przytem wielkiego psów nieprzyjaciela, więc się trochę lękały. Toć ja z nimi lisów w norach pobrałem sztuk 47 i borsuków niemało, tchórzów i norek. Sądź więc dobrze o moich jamniczkach, a ja wracam do nor.

Słychać znów straszne ujadanie psiaków, a wilcy ciągle burczą czyli warczą chrapliwie jak ryś. Ludzie tymczasem wykopali podługowaty rów, głęboki w człowieka i czekamy wszyscy tak niecierpliwie, że trudno opisać. Nareszcie ukazał się otwór do nory i widzimy jamniki po jednej stronie dziu-

ry, a po drugiej łeb wilka. Furman chwycił basiora za uszy rękoma, drudzy ludzie mu pomogli i wyciągnęli go z jamy, a jamniczki tak go szarpały, że trudno je było odpędzić. Związali wilkowi nogi i włożyii go do worka dużego. A co było przytem śmiechu i radości!

Ale noc już zapadała. Zapóźno wybraliśmy się na to polowanie, bo dopiero o pierwszej godzinie po południu. Więc nająłem dwóch ludzi, aby przenocowali koło nor i pilnowali, żeby reszta wilków nie wyszła, bo jeszcze się zostały. Pozatykano tedy nory karczami i drzewem i zostawiono resztę do dnia następnego. Dopiero teraz ujrzałem, że jamniki były pokąsane przez wilki w bok, aż skóra z mięsem wyrwana, za łeb i za uszy — nie dziw więc, że się bały.

Nazajutrz ci ludzie, co nocowali w lesie przy norach, opowiadali, że pod ziemią chodziły i hurkotały wilczęta, próbując wyjść. Stare wilki chodziły znów na około i wyły żałośnie, ale noc była ciemna i nie można było strzelać.

Odetkaliśmy nory i wpuszczam jamniki. „Śrubka“ polazła, a „Dostań“ i „Wykop“ lękają się. Suczka zabawiła się z 15 minut, nim wilczaki odszukała, tak się pochowały. A nor pod ziemią mnóstwo i komunikują jedna z drugą. Naraz słyszę, suczka odezwała się bardzo daleko, ledwo słychać, w nowem miejscu. „Dostań“ i „Wykop“, usłyszawszy szczekanie suczki, poszły także choć z niechęcią i w parę minut słychać śliczny gon pod ziemią. A przestrzeń to dosyć obszerna, gdzie są te nory.

Ludzie kopią rów gdzie im pokazałem, ja zaś zachęcam pieski, włożyłem trąbę do nory, i trąbię. Jamniki usłyszały trąbkę i zaczęły jeszcze lepiej dobierać się do wilków. Podchodzę do drugiej nory i trąbię, aż tu wilk wysuwa się wprost na mnie. Ja w bok i krzyczę: „Pilnuj wilka!“ i w tej chwili leśnik, bęc! Wilk cofnął się nazad do nory, — a jamniki drugą norą wyskoczyły i uciękły. Ja, zdziwiony co to jest, pokazuję im tę norę, z której wilk chciał wyskoczyć, więc poszły, ale bardzo zmęczone, i wnet w drugiem miejscu słyszę szczekanie, nie tam, gdzie wilk wyskakiwał.

Kazałem ludziom tam kopać, gdzie psy się odzywają, i prędko ziemię wybrali, bo w tem miejscu nie było głęboko, ale wilk w drugą norę przebiegł i schował się; kopią zatem w drugiem miejscu i dokopali się, a on w trzecie miejsce umknął. Jamniki rzucają się za nim śmiało, bo widzą ludzi, którzy często wyłażą z jam przekopanych, lecz nadaremnie. Przekopują już piąty rów, aż nareszcie widać jamniki i z jednej i z drugiej strony wilków; rzucają się coraz śmielej, i szarpią. W tej chwili furman pochwycił jednego wilka jak uprzednią razą. Drugi wilk chciał wyskoczyć za tym, którego furman wyciągnął. Człowiek stojący obok chwyta więc drugiego, tym sposobem jak poprzednie, a on go w rękę ukąsił. Drudzy podbiegli i związali nogi, aleśmy zobaczyli, że drugi wilk ma nogę przednią złamaną, więc rozwiązaliśmy i rzekłem chłopu, który go trzymał: „Rzuć, niech jamniki za swą pracę się pobawią.“ Wilk chciał uciekać, ale jamniki w jednej chwili rzuciły się na niego — zrobił się kłębek, — kaczają się po ziemi — nareszcie wilk poprawił się i chwyta Wykopa za ucho. Pies w gwałt, — krzyczy z boleści — ja wołam: „Uderz wilka po mordzie łopatą“, — wilk puścił w tej chwili, — ja myślałem, że jamnik ucieknie, lecz zaledwie go wilk puścił, chwycił wilka za gardło — rozciągnęły bestyę i udusiły.

Gdy się już pieski wilkiem nacieszyły, odegnałem ich, ażeby dalej poszukały, czy jeszcze nie ma czego w norze. Śrubka poszła, ale Dostań i Wykop pokładły się na ziemi obok wilka zaduszonego. Wtem Śrubka zaczęła szczekać w nowej norze. Cieszymy się, że suczka wynalazła nowego wilka, i kopiemy, aż tu wilk wyłazi, a Śrubka za nim, i kąsa go w nogę. W tej chwili strzelono i o mało Śrubki nie zabito. A zatem z pomocą trzech jamników wzięliśmy pięć wilków; w norach nic już nie było.

Mogę śmiało powiedzieć, że nigdzie się to jeszcze nie zdarzyło, aby z jamnikami brać wilki w norach. Wiadomo, że psy w ogóle boją się wilka, a są tylko umyślnie do wilków zaprawiane duże ogary, i to rzadko. Tu tymczasem wzięły pięć basiorów biedne maleństwa, jamniki, które sam tresowałem na różnego zwierza.

O Śrubce muszę jeszcze coś ciekawego opowiedzieć.

Jest ona szczególnie zajadłą nieprzyjaciółką lisów, a przecież okazało się, że nie cierpiąc lisów w polu, inaczej obchodzi się z nimi w domu.

W kwietniu otrzymałem trzy małe lisięta i włożyłem je do pudełka w kącie pokoju. Zaledwie Śrubka je ujrzała, zakradła się niespostrzeżenie do pudła i lisięta nakarmiła. Od tego czasu „sierotom“ zastępowała stale zabitą na polowaniu matkę. Lisy wychowały się częścią w budzie dla psów, obecnie zaś trzymają się w ogrodzie koło domu, i na moje zawołanie przebiegają. Zrana, gdy głód im dokuczy, drapią do drzwi mego pokoju; przed obcymi uciekają.

Andrzej Popowicz.

Sprawozdania łowieckie.

Niejednostajna ciągle pogoda, czas albo niezwykle ciepły, mdły, albo zgniły, słotny, brak orzeźwiających mrozów i ponowy, grasująca zresztą influenza nie sprzyjały w listopadzie łowom. Mało też mamy sprawozdań z większych polowań.

Upraszamy szanownych naszych delegatów i przyjaciół „Łowca“, ażeby o nas nie zapominali i raczyli nam choćby w najkrótszych wyrazach i cyfrach o odbytych polowaniach donosić. Wszakże mamy o czem pisać i z pewną dumą wskazywać na postęp w gospodarstwie łowieckiem. Sam targ zwierzyny we Lwowie przekonywa, że racyonalna ochrona zwierząt łownych sprzyja w wysokim stopniu jej rozmnoży. Sarninę, która przed kilkunastu laty zaczęła należeć do dziczyzny bardzo zbytkowej, płacono w ostatnich dniach po 65 a nawet 60 centów za kilogram w stanie rozebranym, a więc nie licząc skóry, przodków i wszelkich odpadków t. j. na równi z mięsem wołowem. Przyczyniła się do tego niezawodnie ta okoliczność, że zwierzyna przychodziła na targi nie zamarznięta i nie dała się długo w skórze trzymać, ale przeważnie to, że w ogóle wziąwszy, jest jej coraz więcej.

W Biłce, u ks. Jana Sapiehy, odbyły się łowy w dniach od 20 października do 4 listopada. Pierwszy dzień polowania, poniedziałek, był zupełnie jak w lipcu — w najlżejszych letnich ubiorach było nam gorąco — we wtorek deszcz, a potem do końca polowania mroźno. Słonki były pierwszego i drugiego dnia. W pierwszym dniu padło 27, drugiego 13. Razem 40 sztuk.

W ogóle padło w Biłce, Kłodnie i Wólce Mazowieckiej 19 rogaczy, 2 borsuki, 25 lisów, 129 zajęcy, 40 słonek, 6 kuropatw, 1 cietrzew, kogut, 4 koty, 5 jastrzębi; razem 231 sztuk.

Królem polowania (jak zwykle, gdzie jest) był hr. Kazimierz Łubieński a hr. L. Starzeński, gospodarz i ja, trzymaliśmy się równo. Nie liczę księcia Czetwertyńskiego, który tylko dwa dni z nami polował.

Polowano w siedm strzelb dni siedm. Ilości strzałów nie pamiętam, ale mało pudłowano nawet do słonek. Hr. L. Starzeński dawał koncerta; pamiętam w jednym miocie na kupę trzy położył. *M. hr. Tyszkiewicz, delegat.*

W Dunajowie, dobrach arcybiskupstwa lwowskiego, polowaliśmy od 9 do 12 listopda. Knieja ta w tym roku zawiodła nasze oczekiwania. Tam, gdzie w jednym dniu przeszłego roku padało 30 zajęcy, w tym tylko pięć ubito. Dzików, tak jak w Kłodnie i Wólce nie było; nawet latem szkody w polu nie robiły. W ogóle padło na czterodniowem polowaniu w 16 strzelb: 5 rogaczy, 7 lisów i 50 zajęcy.

M. hr. Tyszkiewicz, delegat.

W dniu 13 listopada b. r. zajechaliśmy wraz z bratem moim w gościnę do pana rotmistrza Fr. Piechowskiego w Czeremchowie.

— Skoroście przyjechali, a macie ze sobą pukawki — rzekł na wstępie pan rotmistrz — to i zaglądniemy do kniei, może tam się co znajdzie, ale nie spodziewajcie się dużo zwierzyny!

Nie trzeba nam było takiej propozycyi dwa razy powtarzać. W godzinę staliśmy już na stanowiskach, a na znak dany trąbką odezwały się głosy nagonki. Zaraz w pierwszym miocie padł piękny rogacz, a w przeciągu kilku godzin mieliśmy na rozkładzie 4 rogacze (z tych dwa piękne myłkusy), 3 zające, lisa i jarząbka.

Bardzo wiele zwierzyny i niejeden rogacz przeszedł bez strzału, bo nasza nieliczna drużyna gubiła się prawie w rozległych miotach i wiele stanowisk nie było kim obstawić.

W ogóle stan sarn w Czeremchowskiej kniei świetny, a znakomite podniesienie zwierzostanu w stosunkowo krótkim czasie jest wyłączną zasługą szanownego gospodarza, który będąc myśliwym — jak to powiadają — z krwi i kości, otoczył zwierzynę swą umiejętną opieką i stał się postrachem okolicznych kłusowników.

Sama knieja z natury piękna i poprzeżynana licznymi jarami, rozciąga się między wielkimi kompleksami lasów Korszowa i Słobódki leśnej. *Leopold Łysakowski.*

Z Bukowiny donoszą o kilku polowaniach, którymi jesienny sezon myśliwski inaugurowano.

W Romanestie, powiecie suczawskim, polowano w kilka strzelb i ubito 32 zajęcy i 7 lisów. Już po polowaniu, nocą, jeden z myśliwych urządził sobie zasiadkę i uśmiercił 4 borsuki.... zadziwiająco chude.

W Ickanach ubito 44 zajęcy i 4 lisy.

W Storożyńcu ubito 9 lisów, a w łęgach koło Łękowiec 6 lisów i 4 zające.

W ogóle sygnalizują tego roku z Bukowiny wielką obfitość lisów, czem się mała liczba zajęcy i jeszcze mniejsza sarn jasno tłumaczy.

Słonek było tej jesieni bardzo mało.

KRONIKA.

Towarzystwo myśliwskie w Warszawie uchwaliło na ostatniem swem zebraniu, aby za wykroczenia myśliwskie nakładać znaczne kary pieniężne i tak: za zabicie kury cietrzewia lub bażanta przy nagonce nałożono 5 rs. kary, na toku 25 rs., za strzał przypadkowy 10 rs., za niewyjęcie naboju po zejściu ze stanowiska 10 rs., za strzał na linii strzelców 25 rs. z zabronieniem udziału w polowaniu, za strzał w środek po danym sygnale w polowaniach kociołkowych 25 rs. z zabronieniem nadal polowania. Przy polowaniu na ptactwo przelotne nie wolno strzelać ani do kuropatwy pod karą 3 rs., ani do zająca pod karą 5 rs. Polowanie na kuropatwy na gruntach dzierżawionych przez Towarzystwo wstrzymano w ogóle do 3 lat.

Całkiem białego kozła, szpiczaka, ubił d. 10. października kapitan W. Schwarz w kniei Andrychowskiej, należącej do hr. Bobrowskiego.

O wilkach donoszą bez przerwy z różnych stron. W połowie listopada pojawiły się w większej liczbie około Biecza, w okolicy gmin Lipiuek, Libuszy, Krygu i Wójtowy. Co nocy prawie pożerały jakiegoś psa, strzegącego domu. Starostwo gorlickie miało zarządzić obławę na tych rabusiów, lecz nie wiemy z jakim skutkiem.

Koło Rożanki, w powiecie stryjskim, pojawiły się przed kilkunastu dniami wilki w znacznej liczbie i wydusiły 33 sztuk owiec, ze stada pasącego się w górach. Starostwo stryjskie wydało zarządzenia celem wytępienia wilków.

W lasach bukowińskich nie przestają także grasować.

Z Wileńskiego donoszą również, że wilki rozmnożyły się tam i rozzuchwaliły ogromnie. Już w ciągu lata niemałe szkody poczyniły w stadach, teraz zaś polują na psy i chwytają je niemal z podwórzy. Gęsi włościańskie, wałęsające się bez dozoru po polach, stanowiły także smaczny kąsek dla tych drapieżników.

Zbłąkany jeleń. Pisma warszawskie doniosły, że d. 4. listopada pojawił się w Warszawie piękny jeleń w pobliżu koszar pułku huzarów grodzieńskich. Kilku huzarów usiłowało go schwytać, ale szybkonogi jeleń, przesadziwszy kilka płotów, zniknął z oczu ścigających. Wtedy kilku oficerów dosiadło koni i równocześnie różnymi drogami puściło się w pogoń. Jeden z jeźdźców dogonił jelenia między Służewem i Paluchami. Zaimprowizowano obławę z włościan i w końcu zmęczonego już pościgiem jelenia wzięto do niewoli i odstawiono do pułku. Niewiadomo zupełnie, skąd się wziął ten jeleń. Wszystkie okoliczne zwierzyńce leżą dość daleko od Warszawy, stamtąd więc zbieg ten pochodzić nie może. Ktoś utrzymuje, że widział jelenia, przepływającego Wisłę. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, jeleń uciekł z jakiegoś majątku pod Warszawą.

Niedźwiedź na strychu. Komiczna przygoda z mysiem przytrafiła się przed niewielu dniami w jednej z wiosek siedmiogrodzkich koło Görgeny. Niedźwiedź, wystraszony a może postrzelony na górskiem polowaniu, przyszedł w biały dzień do wsi i znalazł się na drodze między chałupami. Wszczął się krzyk i pisk nieopisany. Z drągami, widłami — z czem kto miał — rzucili się ludzie za nim i tak go przycisnęli, że biedny myś schronił się wreszcie do chałupy, a spotkawszy zaraz na wstępie drabinę, wylazł po niej na strych. Zaczęło się zatem oblężenie, a między „obegnańcami“ — mówiąc językiem naszych kronikarzy — znalazło się nawet kilku z bronią palną. Ale jak tu strze-

lać? Na szczęście mysiowi zrobiło się duszno na strychu, podsadził się przeto pod dach gątowy, gąty prysły i przez utworzoną w ten sposób dziurę ukazał się łeb kudłaty. W chwili tej padło kilka strzałów i myś legł trupem.... na strychu.

Cywilizowany dzik. Zabawka, jaką sobie urządzają w Niemczech z polowaniami *par force* na „dziki“, z miski w zwierzyńcach karmione, staje się czasem igraszką bardzo komiczną. Taka „heca“ przydarzyła się właśnie d. 10. października w Poczdamie. W kniei poczdamskiej stawiło się w południe całe grono myśliwych na koniach, przybranych w sakramentalne fraki czerwone, oraz kilka pań w amazonkach, gdy wypuszczono „odyńca“. Wystraszony paciuk, za którym psy puszczono i ruszono galopem, przebił się przez las poczdamski i jął czesać prosto ku miastu. Tu przestraszył idącą do szkoły gromadkę dzieci, minął aptekę „pod koroną“, dostał się na ulicę lipską i rzuciwszy się w Hawelę, przebył ją wpław. Po przesadzeniu wału kolejowego dostał się znowu na dobre do miasta i goniąc najpryncypalniejszymi ulicami, po których tramwaj kursuje, wyleciał bramą brandenburską do parku Sanssouci. Tu uważał biedny paciuk, że ma już spaceru dosyć i schronił się w krzakach, gdzie go dopiero synowie ogrodnika, dorożkarz i jakiś waleczny gwardzista drągami ubili. Oczywiście, że wspaniali jeźdźcy w czerwonych frakach pogubili się wśród ulic, a rozpierzchłą złaję psów strąbiono i odesłano do domu.

Tak to wygląda polowanie na „odyńca“ w Niemczech!

W Styryi, wedle wykazów urzędowych, ubito w r. 1890: 2368 jeleni, 90 danieli, 9726 kozłów, 2236 kozic, 3 dziki, 76831 zajęcy, 108 królików, 2 świstaki, 1412 głuszców, 1313 cietrzewi, 3448 jarząbków, 173 pardw alpejskich, 33 kuropatw kamionek, 19795 bażantów, 39934 kuropatw, 8855 przepiórek, 3158 słonek, 493 kszyków, 146 dzikich gęsi, 3042 dzikich kaczek, 1048 kun, 983 tchórzów, 3660 lisów, 84 wyder, 825 żbików, 481 borsuków, 22 orłów, 113 puhaczy, 8319 jastrzębi, krogulców i sokołów, 2652 sów. O wilkach, rysiach, niedźwiedziach nie ma ani wzmianki.

Przechadzka słonia. Niezwykłego popłochu nabawił ostatnimi czasy mieszkańców Tuluzy następujący wypadek. Z zabudowań goszczącego obecnie w tem mieście cyrku uciekł w rannych godzinach słoń i w największym pędzie wybiegł do miasta. Pierwszą ofiarą gniewu rozjuszonego zwierzęcia padła część ogrodu miejskiego, w którym wielkie poczynił spustoszenia. Następnie wpadł do jednej z kawiarń na bulwarach, a widok zwierciadeł, w których postać swą kilkakrotnie ujrzał odbitą, tak go rozgniewał, że trąbą wszystkie zwierciadła podruzgotał, stoły powywracał, a krzesła i butelki porozrzucał po całym lokalu. Stąd wpadł przed drzwi jednego z mieszkań najbliższych i wysadził je trąbą ku nieopisanemu przerażeniu mieszkańców, nie spodziewających się takiego gościa. Na szczęście w tejże chwili zjawił się przewodnik słonia, który, udobruchawszy zwierzę kilkoma kawałkami cukru, zaprowadził je następnie bez przeszkody do stajni.

Walka lwów. W ogrodzie zoologicznym w Antwerpii odbyła się przed niewielu dniami straszna walka lwa i lwicy. Niedawno nabyto do ogrodu tego przepyszny okaz lwicy i umieszczono ją w klatce obok wielkiego lwa afrykańskiego. Ponieważ zachowywały się zupełnie spokojnie i zdawały się nawet być rade z sąsiedztwa, przeto postanowiono umieścić je w jednej klatce. W tym celu usunięto kraty stanowiące przedział i w jednej chwili lwica wskoczyła de lwiej klatki. Zaledwie jednak obie dzikie bestye znalazły się razem, gdy z wściekłością rzuciły się na siebie. Wszczęła się między nimi tak straszna, tak zacięta walka, iż rozdzielić było ich niepodobna. Zresztą żarcie się to trwało tylko parę minut. Lwica padła z przegryzioną szyją i trupa jej tylko z klatki wyciągnięto. W czasie tego strasznego pojedynku wszystkie dzikie zwierzęta, znajdujące się w zwierzyńcu, wydawały straszne, niczem nie dające się opisać ryki.

Sławny pogromca zwierząt, Karol Jamrach, zmarł w Londynie spokojną śmiercią na łóżku, co się rzadko trafia ludziom jego zawodu. Był to człowiek nadzwyczajnej siły i odwagi. Pewnego razu największy z jego tygrysów bengalskich wyrwał się z klatki i wypadł na jedną z najludniejszych ulic. Wszystko co żyło pouciekało, zostało tylko kilkoro dzieci. Nikt nie śmiał pospieszyć im na ratunek. Tygrys niebawem wybrał sobie ofiarę, małego chłopca, powalił go na ziemię i już miał w niego kły zapuścić, gdy wtem rozległ się groźny krzyk. Tygrys drgnął i odwrócił się. W tej chwili rzucił się na niego Jamrach z gołymi rękami. Tygrys łapą rozkrwawił mu goleń; Jamrach chwycił zwierza za uszy i powstała straszliwa walka, która byłaby się skończyła śmiercią Jamracha, gdyby nie była nadbiegła jego służba i nie zastrzeliła tygrysa. Ciekawy jest koniec tej historyi. Ojciec chłopca zapozwał bohaterskiego zbawcę dziecka o wynagrodzenie za rozdarcie surducika. Sędzia policyjny, przed którego sprawa się wytoczyła, rzekł: „Panie Jamrach, ja radbym pana za pański czyn wynagrodzić, ale prawo jest przeciw panu“ — i skazał go na zapłacenie 5 szylingów powodowi.

Wystawa kotów. D. 29. października otwartą została w Brukseli w lokalu zwanym *Salles modernes* międzynarodowa wystawa kotów. Było tam do paruset okazów tych zwierząt. Jak wiadomo, Belgijczycy bardzo lubią koty, które też nierównie więcej są tam rozpowszechnione niż psy. Nie masz prawie domu, gdzieby nie było tego wroga szczurów i myszy. Furorę prawdziwą wśród zwiedzających wystawę miały wywołać przepyszne okazy kotów siamskich, bez ogona. Za niektóre okazy żądano po kilkaset franków.

Hr. Samuel Teleki podróżował jak wiadomo w latach 1887 i 1888 po centralnej Afryce. Dla szefa wyprawy, która zresztą odkryła nieznane dotąd jeziora Rudolfa i Stefanii i czynny wulkan, było jednym z głównych celów badanie wschodnio-centralnej Afryki pod względem myśliwskim, sam bowiem należy do najzapaleńszych i najwytrwalszych łowców. To też wyprawa Telekiego ma pod względem myśliwskim nadzwyczajne wyniki do zapisania. W ciągu wyprawy bywało tak nieraz, że sztuciec Telekiego żywił całą karawanę wśród puszcz bezludnych. Dla żywności, dla studyów, dla zadowolenia pasyi myśliwskiej, dla kości słoniowej i trofeów łowieckich padła w ciągu tej wyprawy niesłychana ilość wielkich zwierząt, 99 potężnych nosorożców, 92 bawołów i 36 słoni. Była raz chwila w zdobycz łowiecką tak bogata, że w ciągu 50 po sobie następujących dni ubił sam hr. Teleki 10 słoni, 61 bawołów, 21 nosorożców, 12 antylop i 9 zeber. Wyprawa przebyła i zbadała 150.000 kwadratowych kilometrów zupełnie dotąd nieznanego obszaru, przebywszy góry Kilimandżaru a następnie góry Meru i płaskowzgórze Leukipia.

Opis tej wyprawy, skreślony przez porucznika marynarki Ludwika Höhnela, który Telekiemu towarzyszył, przyozdobiony 170 oryginalnymi ilustracyami i dwoma wielkimi mapami, rozpoczęła właśnie wydawać zeszytami księgarnia Alfreda Höldera w Wiedniu.

Najpiękniejszy ptak. Najpiękniejszym z ptaków na ziemi ma być „*Pharomacrus resplendens*“, przez meksykańczyków „Quesal“em zwany. Guatemala obrała go sobie za herb i podobizna jego zdobi marki tego kraju. Na rysunku tym ptak ów podobny jest do bażanta. Żyje on w środkowym Meksyku i w górzystych okolicach Nowej Grenady. Chętnie przebywa na słonecznych dolinach, położonych na wysokości dwóch tysięcy stóp nad poziomem morza. Wielkość jego wynosi 40 cm. Upierzenie ma wspaniałe. Skrzydła i ogon są cudnej szmaragdowej barwy, pierś zaś i brzuch ubarwione szkarłatnie. Na głowie ma wspaniałą kitę z piórek różnobarwnych, jak pióropusz generalski. Ptak ten za czasów Montezumy był ptakiem herbowym kacyków. Hiszpanie, ujrzawszy go po raz pierwszy, olśnieni byli jego widokiem i nazwali go „pito real“, to jest „ptakiem królewskim“.

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak**, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.